AS



Nr. 34
20 SIERPNIA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

NA KALIFORNIJSKIM WYBRZEŻU...
HELEN PARRISH

LESŁAW PETECKI

Dzień w słońcu

IMPRESJE WEEK-ENDOWE

Stop! — powiedział pewien znany i przemiły doktór, z którym dobry los złączył mnie pewnego pięknego poranka, — jesteśmy w Porąbce!

— Uff! Westchnąłem ciężko, jako że upał był straszny, a nasze wspaniałe autostrady nie pozwoliły mi narazie skupić myśli.

Zwolna wracałem do przytomności, przy akompanjamencie śmiechu mego towarzysza, który tymczasem zaparkowawszy swój wspaniały, aerodynamiczny model F. N.-na z roku 1923, jak mógł najszybciej ściągał z siebie boże poszycie, gotując się do kąpieli.

Zanim zdążyłem przetrzeć zakurzone oczy, siedział już w wodzie, wyrażając radość wszystkiemi możliwemi głosami, jakiemi dysponuje świat zwierzęcy od kolibra do ryby włącznie.

— Aha, więc jesteśmy w Porąbce! — rzekłem do siebie, zorjentowawszy się nareszcie w sytuacji, trzeba więc przedewszystkiem „strzepnąć pył z obuwia" i wykąpać nie tyle grzeszne, co brudne ciało.

Przywiozłem z sobą w skromnym bagażu cały bardzo duży zapas pesymizmu własnego, oraz kursujących na temat Porąbki bajek, których autorzy wszystko wiedzą najlepiej; a więc, o ile zadużo wydano przy budowie pieniędzy, jakie i w których miejscach są pęknięcia itp. głupstwa.

W chwili, gdy po raz pierwszy popatrzyłem przytomnie na wspaniałą zaporę wodną, na przepiękne otoczenie, poczułem wyrzuty sumienia, zrobiło mi się bardzo niewyraźnie i moje opalone policzki oblał rumieniec wstydu za siebie i za tych wszystkich, których pesymizm zabija najradośniejsze momenty życia.

— Niech djabli wezmą pesymistów — rzekłem subtelnie, ale dość głośno, by mogli mnie usłyszeć jacyś turyści, którzy z minami znawców oglądając i opukując wspaniały wał cementu, krzywili się, mówiąc:

— Cóż nadzwyczajnego? W Ameryce takie tamy znane są od wielu lat, a u nas to zawsze o każdą drobnostkę tyle chałasu! Eeee, nic takiego ciekawego!

— Tu jest Polska — powiedziałem do nich grzecznie, ścisnąwszy zęby, za którymi tkwiło kilka zegadłowiczowskich, soczystych słów. Popatrzyli na mnie z wyżyny swej mądrości i odeszli spokojnie, nie rozprawiając więcej o Ameryce i nie wadząc nikomu, oceniwszy zapewne równie fachowo mój wzrost i ciężką wagę.

Oglądam się za moim towarzyszem, niema go — szukam, jest daleko na jeziorze, wygląda jak mały wieloryb domowego chowu.

Jeden skok i... jestem w raju! Tej rozkoszy musi każdy sam zakosztować! (Zastrzegam się, że nikt mi nie płaci za reklamę).

* * *

A potem słońce, lepsze od włoskiego i w tym roku szczególnie dla nas łaskawe. Przysięgam, że mogłoby iść na eksport.



Soła poniżej zapory w Porąbce

Słońce... czy wy wiecie mieszczuchy, co to jest słońce?... Jeśli nie, to jedźcie do Porąbki, puczujecie je dosłownie na własnej skórze!

* * *

A potem w pobliskiej restauracji czekała nas ciekawa rozmowa z jednym z inżynierów, którzy pracowali przy budowie. Przy wspaniałem piwku, „naturalnie żywieckiem" dowiadujemy się szczegółów. Nasz rozmówca sypie fachowymi terminami jak z rękawa, nie szczędząc cyfr, co nas bardzo interesuje. Cyfry te mówią same za siebie. Zbiornik na Sole powstał przez spiętrzenie wody zaporą. Powierzchnia sztucznego jeziora przy największem spiętrzeniu rzeki wynosi 380 ha, głębokość — 22 m, długość jeziora 7,7 km, największa szerokość 800 m. Pojemność zbiornika wynosi 32 miljony metrów sześciennych wody.

Ilość betonu zużyta na wykonanie tamy (zapory) wynosi 100.000 m^3, a ilość cementu 2,000 wagonów. Dziennie zatrudnionych było około 2000 robotników. Ogółem zużyto 2,100.000 roboczogodzin. Jeśli dodamy do tego koszta budowy, które wraz z zakładem elektrycznym wynosić będą 25 miljonów złotych, będziemy mieli kilka głównych cyfr. świadczących wymownie o rozmiarach budowy.

Ale dość cyfr. Wracamy na słońce. Wszystko nastraja do miłej rozmowy, której dalszy ciąg odbywa się już na brzegu jeziora. Leżąc wygodnie na trawce, w cieniu nadbrzeżnych sosen i świerków oglądamy okolicę. Naprawdę przemiły zakątek.

Nad nami błękitne i bezchmurne niebo, przeglądające się w wodzie daje jej o jeden ton ciemniejsze zabarwienie. Na jeziorze moc lodzi, żaglówek i kajaków. Ludziska różnego wieku i płci pławią się w słońcu i wodzie na wszystkie możliwe sposoby.

Krótka rozmowa z jednym z miejscowych gospodarzy, których grunta znajdowały się na terenie obecnie zajętym przez jezioro, zaznajamia nas z nastrojami wśród tubylców.

Na pytanie, czy są zadowoleni, odpowiada: Jażeby nie, przecież płacili 3 lub 4 razy więcej, niż było warte!

Na wyniosłym brzegu, za drogą, wiodącą z Żywca, widnieją piękne wille, pobudowane przez miejscową ludność, za cenę wywłaszczonych gruntów. Kilka świeżo zbudowanych schronisk, dających pomieszczenie licznym turystom i piękny kościółek, ściągający w niedzielę i święta okolicznych górali, dopełniają pięknej całości.

* * *

Nadchodzi wieczór.

Jezioro co chwila zmienia barwę.

Jeszcze połyskują fale ostatniemi promieniami słońca, jeszcze zdaleka słychać pokrzykiwania i śpiewy obozujących harcerzy, jeszcze z pobliskiego szybowiska wylatuje srebrny ptak, by błysnąć skrzydłami nad wodą i zgubić się w powietrzu...

Rzeką spływa noc...

Cisza okrywa dolinę. Twardy wał betonu opiera się wodzie i nocy. Trzeba odjeżdżać. Napełniamy serca wrażeniami z całego dnia...

* * *

Utopił się gdzieś w głębokiem jeziorze pesymizm. Zniknęły plotki, zręcznie tworzone przez wiecznie niezadowolonych ludzi, a została w nas bajka pięknie spędzonego dnia i jakaś nowa wiara w przyszłość, w siłę człowieka, który opanował żywioł.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

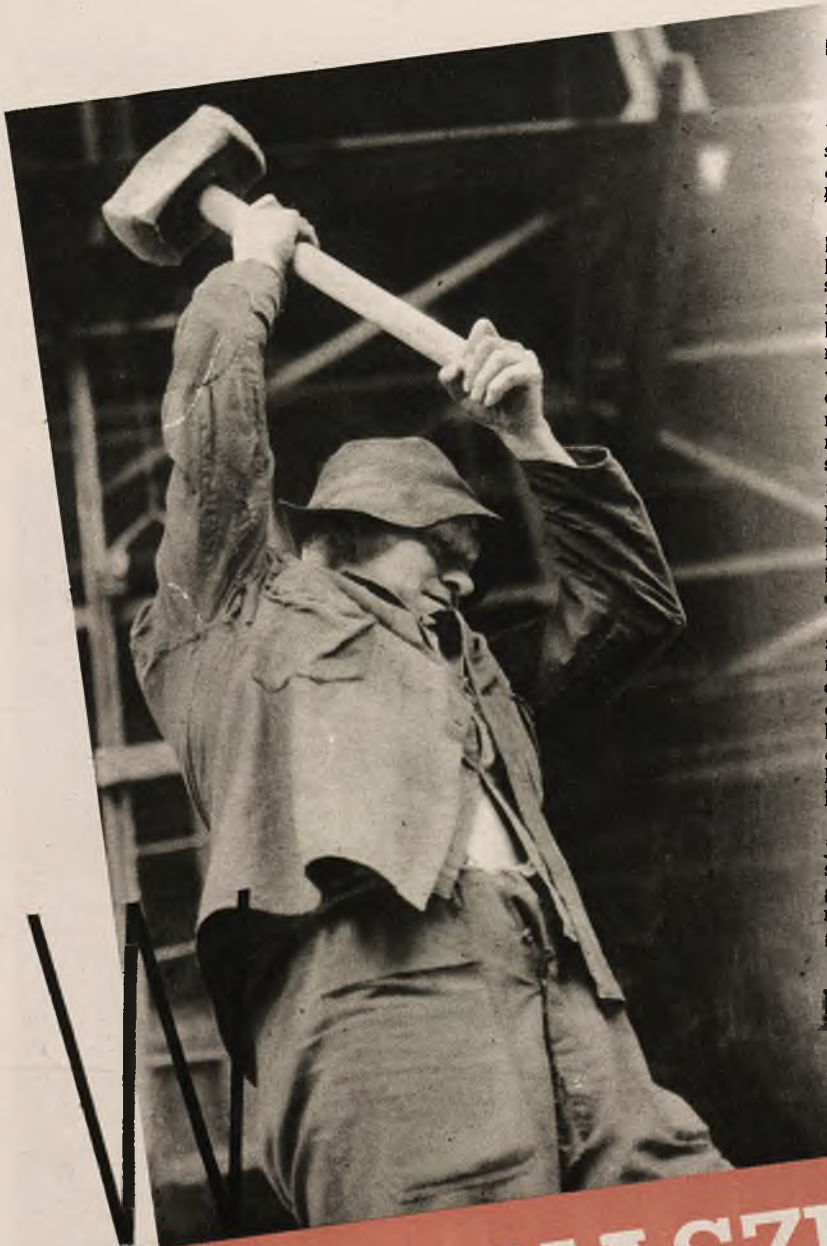
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 34 **Niedziela, 20 sierpnia 1939** **Rok V**

ASY NUMERU 34-GO:



Istnieją na świecie rezerwaty ciszy, spokoju i skupienia, w których życie nacechowane jest poświęceniem i oddaniem się szczytnym celom, tak bardzo odległym od doczesnych spraw tego świata, miotanego burzą konfliktów międzynarodowych. To klasztory ukryte za wielowiekowymi murami, które wyszły obronną ręką z niejednej nawałnicy dziejowej. Na zdjęciu: Zakonnicy klasztoru włoskiego podczas rannej przechadzki w cyprysowej alei



Na lewo: Oto jeden z bezimiennych „kowali" naszej potęgi w hutach trzynieckich...

W KUŹNI NASZEJ POTĘGI...

Cicho i romantycznie szumiały kiedyś nadwodne trzciny Olzy, wijącej się poprzez piękną dolinę, której kontury wytyczają szczyty gór Wysokiego Beskidu Śląskiego, Stożek, Czantorja, Ostry, Jaworowy. Za przełęczą Jabłonkowską, ku której niemal równolegle z Wisłą płynie Olza ku zachodowi, zmienia swój kierunek ku północnemu zachodowi, mija Trzyniec, Cieszyn i Darków, aby powyżej Bogumina zjednoczyć swe wody z słowiańską ongiś rzeką, Odrą.

Nadwodne trzciny Olzy dały początek nazwie osady przemysłowej Trzciniec-Trzyniec, którą jako bogate wiano wniosła ziemia Zaolziańska, powracając jesienią ub. roku na wieki do Macierzy. Niebawem minie rok od owej niezapomnianej historycznej chwili i choć w międzyczasie licznie ciągną wycieczki z całej Polski na Zaolzie, to przecież dla szerokiego ogółu jest to jeszcze „terra incognita", która budzi powszechne zainteresowanie. Przeważnie jednak wyobrażają sobie wszyscy, iż zakłady przemysłowe Zaolzia nadają mu ten sam charakter, jaki znamionuje surowość krajobrazu Górnego Śląska.

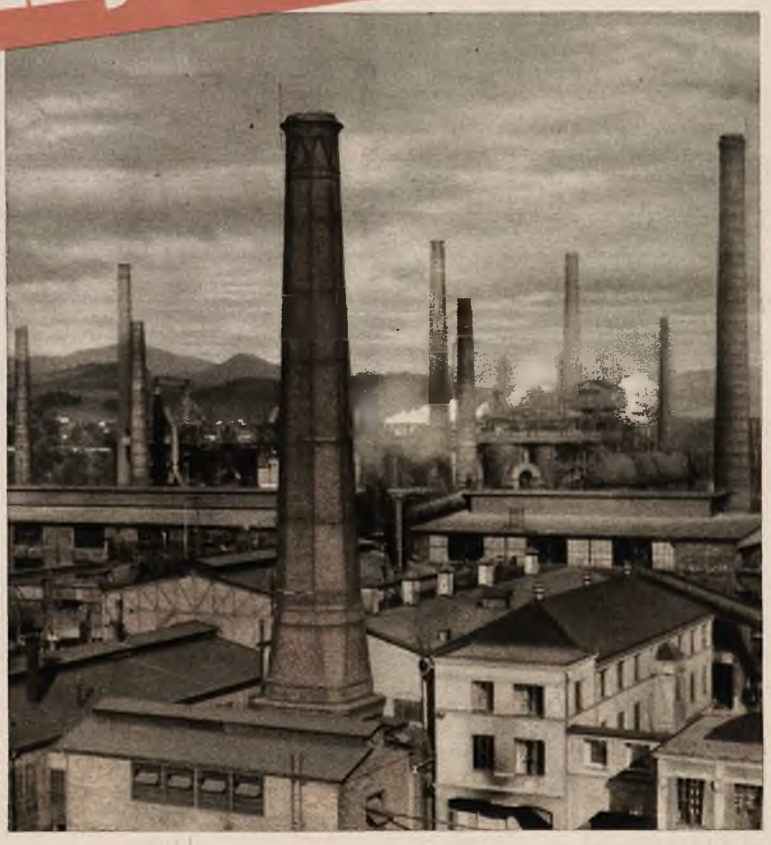
Rzeczywistość jest tymczasem najzupełniej różna od tego rodzaju przypadkowych wyobrażeń. I całe Zaolzie i sam Trzyniec, to przepięknie Bożą dłonią haftowany krajobraz, którego faliste tereny to piętrzą się w wysokie szczyty górskie, to dzielą na łagodne wzgórza i doliny lub mienią błękitem rzecznych wstęg, wijących się między zielenią pól i lasów. Na tem tle wyrosłe giganty zakładów przemysłowych stały się nieodłączną częścią malowniczości krajobrazu, rozciągając dniem pióropusze dymów wysoko ponad kominami fabrycznemi, a jarząc się tysiącem świateł nocą, kiedy z otwartych czeluści pieców hutniczych bucha lawa płynnego żelaza, strojąc okolice w złociste i krwawe łuny.

Taką ukazuje się Huta Trzyniecka oczom turysty, który nie pojedzie szosą od Skoczowa przez Cieszyn, lecz skieruje się przez Goleszów i Górną Lesznę wprost do Trzyńca. Z wirażów szosy Górnej Lesznej widać Hutę Trzyniecką i rozłożone wokół niej miasteczko. Króluje w kotlinie trzynieckiej masyw stożka-kopca, usypiska granulowanego żużla, który osiadając, tworzy, niby złomy skalne, niby zwały lotnego piasku. Ten sam stożek wita każdego przybysza, który zjawi się na szosie trzynieckiej od strony Cieszyna. Zaraz za nim, po drugiej stronie szosy i równoległej z nią Olzy, piętrzą się wielkie piece, masywy Cowperów, niezliczone kominy i zabudowania hutnicze. Jadąc koleją widzi się je wszystkie z przeciwnej strony, niejako od wnętrza, które zwłaszcza o zmroku przedstawia niesamowity widok czeluści piekielnych, w których czarnej głębi miotają się ognie, niecąc płomienie i snopy iskier, przy huku i łomotaniu, ogłuszającym każdego mimowolnego świadka gigantycznych zmagań myśli i woli ludzkiej z opornym materjałem, mającym z ziemistej rudy wydać szaro-niebieską stal.

Użycie żelaza i stali jest tak powszechne, że stało się częścią składową życia cywilizowanej ludzkości. Nie zastanawiamy się nad pochodzeniem stali i zapominamy o niem, jak zapominamy o źródłach najpowszechniejszych zjawisk życia. A przecież każdy kawałek stali, nóż kuchenny czy rama samochodu, koło lokomotywy czy skrzydło bombowca, rodzi się z matki ziemi (rudy) i ojca koksu w nowoczesnej „kuźni cyklopów", hucie żelaznej, która jest pramatką wszelkiej stali, przetwarzanej na miljardy przedmiotów codziennego i... wojennego użytku.

Losy wyprodukowanej stali są różne. Opuszczając taką hutę jak Trzyniecka, w postaci szyn kolejowych lub dźwigarów, może służyć bezpośrednio swojemu zadaniu, wytrzymując jazdę pociągów lub ciężar stropu budynków. Ale większa część produkowanej w hucie stali, która opuszcza ją w postaci sztab, prętów „rygli", „kęsów", „platyn", czy pod innemi nazwami żargonu han-

Zdjęcia: Specjalny serwis Magazynu „As" (Keystone)



Na prawo: Wysoko wyrasta nad huty trzynieckie las kominów...



Napełnianie kokil płynną stalą, która pryska snopami iskier...



Na lewo: Walcowanie szyn kolejowych.

Oddana koleją losów w ręce czeskie, stanowi obecnie własność Górniczej i Hutniczej S. A. w Cieszynie.

Huta Trzyniecka to olbrzymi kompleks zabudowań, rozciągających się w jednym kierunku na przestrzeni 3 km, a drugim 1 km. Z wielu jej urządzeń niektóre są najnowocześniejszemi w Polsce. I tak jeden z wielkich pieców jest największym w Polsce, produkując dziennie 650 ton surówki. Stale szlachetne, wytwarzane w trzynieckich stalowniach, wchodzących w skład tejże huty, wynoszą rocznie ponad pół miljona ton. Walcowane w własnych walcowniach, należących do najlepiej urządzonych w Europie, przodują na wielu polach świetnością wykonania. Ale też walcownie trzynieckie są całkowicie zelektryfikowane i stanowią jeden z ważniejszych powodów chluby naszego przemysłu.

Wszedłszy na teren Huty w Trzyńcu uczy się człowiek operować tylko jakiemiś zawrotnemi wprost cyframi. Owych ośm walcowni posiada kilkanaście pieców martenowskich, elektrycznych i Bosharda, każdy po kilkadziesiąt ton objętości. Piec przechylny daje 120 ton, jeden z mieszalników 300 ton. Produkcja koksowni jest również zawrotna. Jedna baterja z pośród ośmiu czynnych, wytwarza dziennie półtora tysiąca ton koksu. Wytwarza się go ze słynnego węgla karwińskiego o wysokich wartościach koksujących.

Te potężne przetwarzalnie rud i koksu spotrzebowują równie zawrotne ilości tychże składników. To też rudy żelaza posiada

Dokończenie na str. 8-ej.

dlowego, jest dopiero półfabrykatem. Powstaną z niej liny stalowe, łańcuchy, druty, gwoździe, sprężyny, osie maszyn oraz tysiączne inne pożyteczne przedmioty. O ile zaś dany kawałek stali zawierał cenne dodatki w postaci chromu, niklu, wanadu lub wolframu, to może liczyć na zrobienie wspanialszej karjery, jako odpowiedzialna część motoru samochodowego lub samolotowego, które dopomagają nowoczesnemu człowiekowi do pokonywania przestrzeni ziemskich i powietrznych, czy głębinowo-morskich, przypinając mu stalowe skrzydła... lub pletwy.

Bez stali nie byłyby też do pomyślenia śmiercionośne narzędzia wojny nowoczesnego człowieka. Zwiedzając hutę żelazną, trudno powstrzymać się od myśli, iż tylę ku pożytkowi wiedzy i postępu możnaby produkować szlachetnych metali, gdyby wreszcie postęp i cywilizacja świata osiągnęła ten stopień rozwoju, iżby sprawy sporne rozstrzygać można było inaczej, niżeli przy pomocy wojny...

Bez wojny odbyło się na szczęście objęcie Zaolzia przed niespełna rokiem. To też 100-lecie swego istnienia obchodzić będzie Huta Trzyniecka już w łączności z polskim pniem państwowym. Powstała ona w r. 1839 z prymitywnego pierwszego wysokiego pieca, który przetapiał na żelazo ubogie rudy wschodniego Śląska. Do nader szybkiego rozwoju tej huty przyczyniły się korzystne warunki naturalne w postaci położenia geograficznego przy przecięciu głównych szlaków komunikacyjnych, wiodących z północy na południe trasą kolei bogumińsko-koszyckiej.

Dziś zarówno ilości produkcji, jak i przywożonych do Trzyńca rud, koksu, węgla i innych surowców są olbrzymie, to też suma linij kolejowych, które powstały z biegiem czasu przy samej hucie dla jej obsłużenia, przekroczyła już 250 km. torów.

Huta w Trzyńcu stanowiła ongiś własność t. zw. Komory Cieszyńskiej, należącej do potomków królewskiego rodu polskich Piastów.



Na prawo: Spust surówki z wielkiego pieca należy do niezapomnianych widoków

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Zastanawialiśmy się już w jednym z poprzednich numerów nad barwą kartek w albumach i doszliśmy do przekonania, że kolor papieru lub kartonu powinien być czysto biały.

Teraz z kolei wypada rozważyć jaki sposób umieszczenia samego znaczka daje najlepszy efekt zewnętrzny.

Do zamierzchłej przeszłości należą oczywiście te czasy, gdy zbieracze przyklejali znaczki wprost do kartek albumów i to przy pomocy kwaśnego kleju. Po kilku miesiącach podobny zbiór przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy, a jakżeż często ulegały zniszczeniu same unikaty, za które płaci się dzisiaj setki złotych.

Tak więc stosowane od dawien dawna „naklejki" lub „przylepki" do znaczków, sporządzone z przeźroczystego papieru i odpowiedniego kleju, są teraz w powszechnem użyciu, a tylko najbardziej wybredni zbieracze wkładają znaczki do specjalnych „ramek".

Ząbki znaczka, to jego najwrażliwsza część i dlatego chcąc pochwalić się jakimś specjalnie pięknym egzemplarzem należy go umieścić na czarnem tle.

W. H.

Na prawo:

Najnowsze znaczki: w górnym rzędzie trzy znaczki (od lewej) wydane zostały przez Turcję z okazji udziału jej w nowojorskiej wystawie światowej. Postacie w medaljonach na lewym znaczku to, obecny prezydent Turcji Inönü oraz U. S. A. Roosevelt, na znaczku za 12,5 k. Kemal-pasza, oraz Waszyngton. Ostatni znaczek na prawo wydano w U. S. A. na 150-lecie wybrania Waszyngtona prezydentem. W dolnym rzędzie od lewej znaczki: Francji, Belgji, Protektoratu Czech i Moraw oraz Norwegji.



Dokończenie ze str. 6-ej.

huta w zapasie przeciętnie po pół miljona ton. Żeby to sobie uzmysłowić, trzebaby wyobrazić sobie tę rudę załadowaną na pociągi. Musiałoby ich być tysiąc po 50 wagonów 10-tonowych.

Na zespół urządzeń Huty Trzynieckiej składają się prócz wielkich pieców, stalowni, walcowni i koksowni, odlewnie żeliwa i stali, warsztaty mechaniczne z fabryką zwrotnic kolejowych, elektrownie, kotłownie, laboratorja chemiczne i metalograficzne, fabryka szamoty, aglomeracja rud, fabryka wełny żużlowej oraz wiele innych działów pomocniczych.

W tym stanie rzeczy Huta w Trzyńcu daje zatrudnienie około sześciu tysiącom pracowników, inżynierów i robotników, którzy już od kilku pokoleń, z ojca na syna, zawód hutniczy sobie przekazują.

— Siumno tu je praca — powiadają okoliczni włościanie. Każdy też do tej pracy od dziecka się sposobi i umie ją szanować, nietylko jako źródło egzystencji, ale jako nowoczesny warsztat pracy, który zewsząd ściąga fachowców i żądnych wrażeń turystów.

Dla tych ostatnich miłą niespodzianką będzie sama osada fabryczna Trzyniec, rozłożona szerokim kręgiem wokół huty. Składają się na nią schludne kolonje robotnicze i inżynierskie, w postaci mniejszych i większych domków, otoczonych ogródkami. Niema nazw poszczególnych ulic, lecz posiadają je już całe dzielnice, jak Borek, Kanada, Ściskałówka i in. Światło elektryczne, kanalizacja, wodociągi, boiska sportowe, basen kąpielowy, korty tenisowe, a w zimie tereny narciarskie i ślizgawka — oto te najważniejsze, nowoczesne urządzenia, łagodzące ciężar życia pracowników huty w Trzyńcu, gdzie oddawna panowała zasada, iż każdy pracownik ma 20 lat dorabiać się stanowiska, 20 lat na tem stanowisku ku pożytkowi Huty pracować i 20 lat zażywać potem spokojnej emerytury...

W cieniu drzew owocowych, licznie po ogrodach robotniczych sadzonych i na tle pięknego krajobrazu, roztaczającego się dokoła, mogłyby się spełniać takie założenia, byle doczekać spokojniejszych czasów, które będą sprzyjać również rozwojowi ziem zaolziańskich jako ośrodka letniskowego i turystycznego, posiadającego przeważnie bardzo dobre szosy i kulturalne warunki egzystencji. Zarówno latem jak i zimą, jakże tu jest pięknie wśród lesistych gór i terenów narciarskich po szczytach gór, zagospodarowanych przez liczne schroniska.

Przybywającego z innych okolic naszego kraju turystę czy letnika spotka też miła niespodzianka, gdy posłucha pięknego języka na Śląsku cieszyńskim, dźwięczącego archaizmami rejowskiemi, lub nawet odległą jakąś piastowską nutą. Nad brzegami Olzy zadziwia nas po dziś dzień moc ducha tych ludzi, którzy wytrwali 600 lat poza macierzystym pniem, a przywiązaniem do języka i tradycyj umożliwili sobie powrót w granice Rzeczypospolitej.

Jadwiga Harasowska.



STANISŁAW WASYLEWSKI

★

Gdzie Mickiewicz wydumał „Pana Tadeusza"...

Pałac w Objezierzu (pow. Oborniki, Wielkopolska), gdzie Adam Mickiewicz bawił w gościnie u pp. Turno w okresie świąt Bożego Narodzenia 1831 r. Zdjęcia: Magazyn „As".

Jeżeli zważyć, że Mickiewicz przeżył na ziemi wielkopolskiej osiem dramatycznych miesięcy swego życia (od sierpnia do lutego 1831), że udzielał się wiele, zmieniając często „miejsca i widoki", to ilość zachowanych pamiątek jest znikoma i do zadziwu skromna. Zgoła nic, żaden najmniejszy choćby strzęp tradycji nie dochował się w samym Poznaniu, chociaż o stolicę Wielkopolski zatrącał często w swych rozjazdach, każąc sobie nawet listy adresować do oberży Kramarkiewicza.

Wsie i dwory natomiast pochwalić się mogą jeszcze niejednem. Więc jest dąb Mickiewiczowski w Śmiełowie i pokój jego imienia, jest oficyna, w której mieszkał w Choryni i kominek, przy którym improwizował. To znowu stary szlachcic kryje pod korcem zazdrośnie pasemko włosów, bo właśnie u niego wypadło strzyc się poecie. Są gdzieindziej zapisy w sztambuchach i w metrykach kościelnych, są nazwiska chrześniaków, których do chrztu podawał itd. itd.

Jeżeli tych wszystkich bezpośrednich pamiątek nie zabezpieczono dotąd i nie zarejestrowano porządnie — to cóż się dziwić, że pozostała na uboczu pamiątka pośrednia raczej, chociaż ma pilne, nieostatnie prawo do wzmianki w biografji Mickiewicza?

Jest nią kościółek drewniany w Łukowie, nad Wartą, w powiecie obornickim, a więc w miejscowości, w której Poeta — jak z naciskiem wyznawał później przed przyjaciółmi — „wydumał Pana Tadeusza"! Kościółek, liczący do swych parafjan wiarusów i żołnierzy napoleońskich, którzy przywiedli Mickiewiczowi na pamięć kraj lat dziecinnych!

Wybierając się w odwiedziny do sędziwej świątyńki, bierzemy za przewodnika zapiskę we wspomnieniach Adama Turny, która brzmi:

„potem pojechaliśmy na Oborniki do Łukowa. Przyjechawszy nad rzekę, na której kry mocno szły, ledwo po trzech godzinach przeprawiono nas i wysłuchawszy mszy świętej, przybyliśmy do Łukowa... Tu poznałem naszego sławnego poetę Mickiewicza. Brunet, oczy ciemno-zielone, nos piękny..."

Zgadza się. To znaczy: wszystko jest inaczej zgoła, jak było wówczas przed 108 laty. Zamiast 26 grudnia 1831, mamy dzień 9 lipca 1939.

Zamiast kry płynącej Wartą dzień wymarzony, pięknie upalny, pszenica złocona w słońcu, dochodzi na łanach.

Na miejscu lasów, które Mickiewiczowi przypominały świat borów litewskich, biegnie srebrna gładzizna szosy i formują się działki parcelacyjne.

Zmieniły też wygląd Oborniki. Błotnista dziura pod słomianą strzechą, jak ją widywał Adam Turno z Adamem Mickiewiczem, przeinaczyła się w jedno z pięknych i przykładnych miast powiatowych na zachodzie Polski.

Darmobyś szukał śladów roku 1831 w dworze łukowskim. Tylko w kościółku msza św. odprawia się jak wówczas. A właściwie i to nie! Bo Mickiewicz zjechawszy na Boże Narodzenie do Łukowa, w pasterce raczej wziął udział, my zaś zdążamy na sumę niedzielną.

Właśnie ks. proboszcz Schmidt wyszedł z procesją wokół kościoła. „Gwiazdo morza, któraś Pana" — zaniosło się śpiewem odwiecznym.

Kościółek, jak setki innych w każdej prawie wiosce na Podkarpaciu. Daleko mu do wspaniałości Dębna lub Sękowej, a tembardziej do tej przedziwnej bazyliki, jaką w Oleśnie na Śląsku Opolskim zmajstrował cieśla ludowy, biorąc sobie za wzór ni mniej ni więcej a kościół Hagja Sofija w Konstantynopolu!



Kościółek drewniany w Łukowie był już wówczas sędziwy, gdy „Pan Tadeusz" przychodził na świat (procesję prowadzi ks. Adam Schmidt, proboszcz rożnowski).

Ale na ziemi wielkopolskiej, gdzie i najmniejsza parafja szczyci się murowanym domem Bożym — jest osobliwością, reliktem dawnego, romantycznego czasu.

Jakby ze strachu, że i do niego dobierze się bezlitosne, murowane prawo i odmówi racji dalszego bytu jego odwiecznym, zielonym ze starości „szkudłom", schował się starowina tak gruntownie w zakrzewiu, jak Protazy w konopiach. I długo musiał głowić się fotoreporter „Asa" i biegać na wsze strony, zanim udało mu się wreszcie schwycić zakonspirowaną świątynkę na muszkę objektywu.

* * *

...Z bijącem sercem, pokonywując zaspy śnieżne i przeszkody w komunikacji, zdążał Mickiewicz na te święta do Łukowa. Miał wszakże po raz pierwszy od wileńskich czasów, spotkać się z ukochanym bratem Franciszkiem, który, chociaż „ułomny i koślawy" pobiegł do szeregów powstańczych, wrócił po klęsce i siedzi tu u swego przyjaciela Grabowskiego we dworze łukowskim, zbolały. Bo gdyby udało się było — tak mówi — Demińskiemu opanować Wilno, sprawa byłaby wygrana! Poeta przybył, by zobaczyć brata, zaś obaj Turnowie, ojciec i syn, aby poznać poetę. Może z zazdrością patrzy Mickiewicz na krzyż zasługi, zdobiący pierś młodego Turny, który niedawno wrócił do swej młodej żony z frontu — ale z tem większą ciekawością słucha opowieści ojca. Z rozrzewnieniem nawet. Bo chyba chwycił go za serce ten ziemianin wielkopolski, gawędą o swej bytności, w czasie kampanji roku 1812 w Wilnie. I która najmilej je wspomina. W mickiewiczowskiem wszakże mieście mógł ten bitny oficer napoleoński, po raz pierwszy od miesięcy wielu, „spocząć w pokoju ciepłym i między ludźmi", tam ujrzał też po raz pierwszy, księcia Józefa i generała Dąbrowskiego, cofających się z pod Berezyny!

Potem opowie Turno Mickiewiczowi, jak było, „kiedy Francuzi przeszli rzekę Wartę „w roku tysiącznym osiemsetnym szóstym". Treść tej gawędy umiemy na pamięć, powtórzy ją wszakże Bartek Prusak w karczmie soplicowskiej. On też zamianuje Józefa Grabowskiego szefem regimentu, chociaż dziedzic Łukowa liczył sobie w tym czasie zaledwie lat 15 i dopiero pod koniec wielkiej wojny został podporucznikiem. Pomyłka twórcy „Pana Tadeusza" była w tym wypadku świadoma. Podyktowała ją wdzięczność za opiekę nad bratem zato, że uczynny pan Józef zaopiekował się „koślawym" Franciszkiem.

* * *

Dokończenie na str. 20-tej.

Historja ROMANTYCZNA

ZOFJA KLECZYŃSKA

NOWELA

Chcecie więc koniecznie, bym wam to opowiedziała?! Ależ moi kochani, nie zajmie was to napewno ani trochę! Przecież to jest takie błahe, nieważne zdarzenie, pozbawione przytem całkowicie dwóch cech, które stanowią główną osnowę waszych dzisiejszych zainteresowań: pikanterji i sensacji.

Czy zdarzyło się wam kiedy znaleźć w dawno nie czytanej książce zasuszone kwiaty? — Tak? — Wiecie więc zapewne, że wszelki urok uleciał z nich dawno, a zamiast upajającej kiedyś woni czuć je trochę stęchlizną. Otóż boję się, że to moje opowiadanie, które tak koniecznie chcecie usłyszeć, będzie dla was miało właśnie zapach stęchlizny... Kwiatami i wiosną pachnie ono tylko dla mnie. Bo to jest jedyna historja romantyczna, jaka zdarzyła się w moim życiu.

Dlatego, choć to już było tak bardzo dawno, tyle, tyle lat temu, choć od tego czasu włosy moje utraciły swą barwę, a serce cudowną zdolność złudzeń, nietylko pamiętam najdokładniej każdy najdrobniejszy szczegół, ale poprostu widzę i zalany lipcowym słońcem ogród z czerwonemi i żółtemi plamami kwiatów, i mój pokoik, w którego otwartym oknie wiatr wzdyma muślinowe firanki, że wyglądają, jak dwa białe skrzydła, — i nadewszystko las, ciemny, zadumany las, strzegący zazdrośnie swojej i mojej tajemnicy, las skupiony i czujny w oczekiwaniu na pierwszy promień księżyca...

Zasuszony w starej książce kwiatek ma dla mnie zawsze swą dawną barwę, dawny urok i dawną woń...

Więc chcę was prosić o jedno: nie wydrwijcie mnie, jeśli moja romantyczna historja wyda wam się śmieszną... Przyrzekacie?

Muszę moje opowiadanie poprzedzić małym wstępem.

Przypatrzcie się uważnie mojej twarzy. Oczywiście nie zawsze była ona, jak dziś, pokryta zmarszczkami, zwiędła i szara, ale to możecie poznać i teraz, że piękną nie była nigdy. Nie, nawet w tych odległych czasach, gdy miałam lat siedemnaście, nikt — przy najlepszych chęciach — nie mógłby mnie nazwać ładną, — i niczyje oczy nie spoczęły na mnie nigdy z upodobaniem. Sądzicie, że to wielka przykrość i wielkie upośledzenie? Nie wiem... Brak piękności niewątpliwie jest wielkim brakiem, jest nawet rodzajem kalectwa, ale trafiają się przecież kalectwa daleko cięższe. Co do mnie, zdarzyło mi się nawet w mym długim życiu spotkać ludzi, którym brak było serca.

Gdy więc miałam lat siedemnaście, byłam brzydką, niezgrabną dziewczyną, na którą nie patrzył nikt, a już najmniej młodzi mężczyźni. Nie martwiło mnie to jakoś wcale. Jest przecież wiele innych rzeczy na świecie, które mogą dawać radość, tak dużo radości! Złoto — różowe wschody słońca na srebrnej od rosy łące, i zawrotna rozkosz pędu na schwytanym w stadzie źrebcu, i umorusane buzie chłopskich dzieciaków, rozpromieniające się błyskiem prawdziwego szczęścia, i piękna mądrość ludzkiego ducha, przemawiająca z ulubionych książek... To też oczy moje pełne były uśmiechów, a usta wesołych piosenek. Pogody mojej młodości nie przyćmiewał wcale fakt, że każda z napotkanych dziewcząt w moim wieku była ode mnie ładniejsza.

Aż jednego dnia przestałam się uśmiechać. Gorzej nawet. Po długiej godzinie, spędzonej przed lustrem w zamkniętym na klucz pokoju, oczy moje zapuchły i dostały czerwonych obwódek, przez co moja brzydka twarz stała się jeszcze brzydszą.

Nie domyślacie się jeszcze, co się stało?

Tak, tak... Widzę po waszych oczach, że zgadujecie...

Rozumie się samo przez się, że „on" należał do nieśmiertelnej kategorji królewiczów z bajki. Był przytem o tyle piękny, o ile ja byłam brzydka. Jego złoto-kasztanowate, lekko falujące włosy zdawały się mieć miękkość najdelikatniejszego jedwabiu, a jego duże oczy w czarnej, jak heban, oprawie wyglądały, jak cząstka oderwanego z niebios błękitu... Postawa jego przypominała rycerzy ze starożytnych legend, a jego ruchy były czarowne, jak wschodni poemat... Miał najmilszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałam, a jeździł konno, jak młody bóg. Przecież chyba wspomniałam wam na początku, że działo się to na wsi. Było nas w domu trzy dziewczęta, dwie moje śliczne kuzynki i ja, a on przyjechał na lato, jako praktykant.

Nie potrzebuję już chyba teraz objaśniać bliżej, dlaczego płakałam przed lustrem — prawda?

W atmosferę naszego domu jego przybycie wniosło nową, nieznaną nutę. Jak kiedy cichej, sennej powierzchni wody dotknie złoty promień słońca, a ona budzi się, mieni, ożywia, zaczyna drgać blaskiem i barwą, tak zakipiało nagle rozbudzone życie w naszym małym światku. Kuzynki moje przestały się nudzić i uczyniły naraz zgodne odkrycie, że wieś latem ma dużo uroku; moja matka chodziła wśród nas pogodna i uśmiechnięta, jak zresztą zwykle, ale w uśmiechu jej było więcej młodości; ojciec ożywił się i prawie nigdy nie bywał teraz w złym humorze; słyszano nawet — rzecz nieprawdopodobna — śmiech panny Joanny, klucznicy, którego to fenomenu nie notowali dotychczas w swych wspomnieniach najstarsi z pośród domowników.

Co do mnie, to najpierw z tydzień żyłam błędnie i nieprzytomnie, pogrążona w odmęcie nawpół tylko uświadomionych, nieznanych mi uczuć, a potem potrzebowałam całych długich trzech dni czasu, żeby zrezygnować w sercu z tego, co nigdy nie miało być moim udziałem. Nie potrafiłam jednak wyrwać z siebie zainteresowania jego osobą i jego czynami. O każdej porze dnia musiałam wiedzieć dokładnie, co robi i gdzie się znajduje. Zrywałam się o świcie, by ukryta za firanką, lub w krzakach śledzić jego wyjście z domu na folwark. Godzinami wystawałam po polnych miedzach, by widzieć z daleka jego sylwetkę na koniu. A wieczorem, wyprawiona spać przez mamę, bałam się usnąć, by nie stracić stuknięcia drzwi po drugiej stronie sieni, gdzie był jego pokój.

Po pewnym czasie stało się jasne, że nie patrzy on nietylko na mnie, ale i na żadną inną z pozostałych osób w domu, patrzy bowiem wyłącznie i jedynie na starszą z moich dwóch kuzynek — Jadzię. Czy uwierzycie? Mimo mojej zdobytej wprawdzie z trudem, ale istotnej i głębokiej rezygnacji, opłakałam znów to odkrycie w samotności mego pokoju. Bo przecież zupełnie co innego jest wiedzieć, że tylko ja się nie liczę, niż wiedzieć, że jest inna, która liczy się jedynie...

Nie znienawidziłam jednak Jadzi i nie miałam nawet do niej żalu, ani złości.

Dziwi was to?

Gdy rzeczywistość kategorycznie i nieodwołalnie pozbawia kogoś upragnionego szczęścia, lżej mu jest, jeśli potrafi zastąpić ją marzeniem i niem karmić swe głodne serce. Tej zdolności użyczyła mi obficie łaskawa natura — i kto wie, czy nie jej zawdzięczam, że nie jestem dzisiaj zgorzkniałą starą panną, postrachem otoczenia i że wy, młodzi, nie stronicie od mego towarzystwa?

Wówczas ta zdolność moja ratowała mnie prawdopodobnie od rzeczy wiele gorszych. W myślach przestałam poprostu być sobą, byłam piękną, podziwianą Jadzią, do której on kierował swe rozkochane spojrzenia i swe nieme hołdy. Czy dacie wiarę? Doszło do tego, że gdy ktoś przy mnie zawołał: Jadziu! — odwracałam się mimowoli, tak dalece zespoliłam się w marzeniu z osobą kuzynki.

Pewnego dnia siedziałam w malinach na końcu ogrodu. Było to moje ulubione miejsce, mnie tylko znana kryjówka, gdzie często przychodziłam ukrywać swój smutek. Bo — musicie to zrozumieć — wesoło nie było mi jednak na duszy... Otóż siedziałam sobie w gąszczu malin i może nawet płakałam trochę, gdy doszedł mnie szmer, jakby skradających się kroków po drugiej stronie płotu, pod którym rosły maliny. Przyłożyłam oko do szpary w deskach i zobaczyłam — jego!... Co mógł tu robić o tej porze? Wiedziałam dobrze, że powinien być w polu przy ludziach. Pomykał ostrożnie, jakby nie chciał być widzianym, w kierunku małej altanki, znajdującej się właśnie w tym miejscu, gdzie kończyły się maliny.

Nie zastanawiając się wcale nad tym, co robię, nurknęłam co prędzej w największy gąszcz (trzeba wam wiedzieć, że moje maliny nie były wcale porządnie utrzymane i stanowiły prawdziwą dżunglę) i pewna swego doskonałego ukrycia, zaczęłam równolegle z nim skradać się ku altance. Altankę tę obsadziłam sama na wiosnę pnącą fasolą — pamiętam to doskonale — która właśnie była w kwiecie, to też długi czas nie mogłam dojrzeć, czy i kto się w niej znajduje. Dopiero gdy już byłam zupełnie blisko, poprzez ścianę zielonych liści i purpurowego kwiecia mignęła mi niebieska kokarda. A więc była tam Jadzia...

Myślicie pewnie, że zrobiwszy to odkrycie, powinnam była zawrócić natychmiast. lub też dać znać o swej obecności? — Nic podobnego nie zrobiłam. Nawet mi to do głowy nie przyszło. A nie przyszło może

Ciąg dalszy na str. 12-ej.

PORTRET
LIDIA BAAROVA.



Ciąg dalszy ze str. 10-tej.

dlatego, że byłam w tej chwili trochę nieprzytomna. Tak, jakgdybym to ja sama właśnie przyszła na umówioną z nim schadzkę... W każdym razie jest rzeczą pewną, że dusza moja wyszła ze mnie wtedy, by ulokować się w mych uszach.

Mówiłam wam już, że moja malinowa dżungla przytykała do samego płotu, od altanki jednak oddzielona była szerokością ścieżki, dlatego trudno mi było uchwycić to, co mówiła Jadzia, lepiej natomiast słyszałam, co mówił on. Prosił, by wieczorem przyszła do lasu na polankę... Że nareszcie będą swobodni i sami... Że mają sobie przecież tyle, tyle do powiedzenia... Że on już dłużej tak żyć nie może... Że kocha ją ponad wszystko w świecie... Że tęskni do niej, jak wyschła ziemia do porannej rosy... Żeby zlitowała się nad jego męką... Że będzie jej czekał od zmroku...

Mówił bardzo pięknie, bardzo szybko i cicho. Dlatego nie wszystkie słowa mogłam dosłyszeć. Te jednak, które dosłyszałam, zapadły w mą duszę i pozostały w niej, jak perły na dnie oceanu. Zupełnie, jak gdyby skierowane były do mnie...

Nie wiem, co odpowiedziała mu Jadzia. Wiem natomiast, że moje postanowienie powzięte zostało błyskawicznie i nieodwołalnie.

Czy wiecie, co to znaczy czekać?... Czy znacie to straszne napięcie całej istoty, w którem ustaje wszystko, nawet życie samo, by zmienić się w jedną bolesną strunę, na której wydzwania swe ociężałe kroki czas?... Czy znacie tę opętaną gorączkę umysłu i ciała, która wali we wszystkich tętnach jednym rytmem: prędzej! prędzej... oplata się dookoła każdej myśli jednym pytaniem: jak długo jeszcze?...

Od wieczora dzieliło mnie tyle godzin, tak bardzo wiele minut i taka astronomiczna liczba sekund, że dziś jeszcze, po tylu latach, nie przestałam się dziwić, że nie zwarjowałam wówczas! Sądzę, że szczególnie bliską byłam tego, gdy o zapadającym zmroku, kiedy właśnie zamierzałam wymknąć się z domu, zaturkotało przed gankiem, a ja, w mym nieprzytomnym pędzie zderzyłam się prawie w drzwiach z okazałą i ogromną osobą naszego proboszcza. Gdyby był mniejszy, uciekłabym mu napewno, ale swą wielką postacią zagrodził mi całą przestrzeń drzwi, a że jego mocne ręce serdecznym ruchem uchwyciły obydwie moje, więc byłam, jak w potrzasku. Daremnie, wysilając całą swą wymowę i odziedziczoną po przodkach gościnność, usiłowałam skłonić go do przejścia do salonu. Na wszystkie moje grzeczne propozycje zacny ten sługa Boży odpowiadał niedbale: — Zaraz, zaraz, kochasiu! — i trzymał mnie dalej, mówiąc bez przerwy i — co gorsza — zadając mi jakieś pytania, na które odpowiadałam bez związku. I musiałam tak przez dobry kwadrans — czy czy słyszycie?! — przez kwadrans! — rozmawiać z nim w sieni, nim nadeszła moja matka.

Nie wiem, co ksiądz proboszcz pomyślał sobie o stanie mego umysłu. Faktem jest, że w delikatny sposób zwrócił mamie uwagę, iż należało by może trochę więcej zająć się moją osobą i wychowaniem, a przy pierwszej sposobności zawieść mnie do lekarza...

Ja tymczasem, uwolniona nareszcie i prawie oszalała z rozpaczy na myśl, że mogę się spóźnić — pędziłam do lasu. Oczywiście nie wprost, drogą, tylko przez rowy i płoty, skomplikowanemi i trudnemi ścieżkami, które dawały maksimum bezpieczeństwa.

Dziwne to jest, ale ani wtedy, ani w ciągu wszystkich długich godzin, poprzedzających tę szaloną gonitwę, nie zadałam sobie pytania: po co ja tam pójdę?... Dziś myślę, że było ze mną tak, jak z umierającym z pragnienia człowiekiem, który, w braku wody, chwyta bodaj żółć, czy piołun, by uśmierzyć trawiący go żar. Nie mogąc mego udręczonego serca napoić szczęściem, chciałam kielichem męki gasić jego pragnienie... Nie przeczuwałam wcale, jaki napój zgotował mi los...

Nie wiedziałam jeszcze, co robię i jak dostanę się na polanę pod dębem, by ich nie spłoszyć. Nie wątpiłam bowiem, że są tam już obydwoje. Pierwotnym moim zamiarem, któremu przeszkodził proboszcz, było przyjść pierwszą i ukryć się dobrze, zanim nadejdzie on, lub Jadzia. Ale teraz?...

Z bijącym, jak młot sercem, rozdygotana i drżąca, dotarłam wreszcie do lasu. Jeszcze czas jakiś szłam szybko wśród drzew, choć mrok panował tu prawie zupełny, aż zorjentowawszy się, że muszę już być blisko polanki, stanęłam i zaczęłam nadsłuchiwać. Ach, jak ten las szumiał! — Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, nie słyszałam takiego szumu. Jeden nieprzerwany głos szedł od sosny do sosny, od dębu do dębu i huczał i zawodził i grał tysiącem dźwięków, a każdy z nich odbijał się w moich biednych uszach wołaniem: — Jadziu!

Czy on wołał rzeczywiście?... Tego nie dowiem się nigdy.

Jak zahipnotyzowana, zaczęłam iść za tym złudnym wołaniem wolno, wolniuśko, cicho, cichuteńko, przyciskając obydwoma rękami serce, którego bicie — zdawało mi się — słychać w całym lesie. Zastępowały mi drogę borówki i paprocie, szemrząc: nie idź! Jerzyny i głogi chwytały mnie za suknię wołając: zostań! Lecz ja głucha byłam na ich głosy, bo słyszałam jedynie tamto wołanie.

Nie patrzyłam wcale przed siebie, tylko pod nogi, by nie nadepnąć suchej gałązki, która zdradziła by mnie swym trzaskiem. Nagle zrobiło się jaśniej i gdy podniosłam głowę zobaczyłam z najwyższem przerażeniem, że stoję w pośrodku polany...

Za późno już było na ucieczkę: on szedł ku mnie z wyciągniętemi ramionami. Teraz słyszałam naprawdę jego wzruszony szept: Jadziu!...

Czy zdarzyło wam się kiedy we śnie doznać wrażenia, że spadacie w przepaść? — Do tego jednego uczucia mogę przyrównać to, co działo się ze mną w tej chwili. Krzykiem całej duszy błagałam niebo, by zesłało mi śmierć nagłą, by ziemia rozstąpiła mi się pod nogami i pochłonęła mnie, zanim zostanę poznaną.

Nie stało się z tego nic. Natomiast poczułam, jak opasuje mnie dwoje silnych ramion, które garną mnie ku sobie słodko, a potężnie — a że przecież byłam zupełnie bez sił, więc wkrótce głowa moja znalazła się na jego piersi, a na usta, moje brzydkie, nie kochane usta, spłynął n[illegible]awdziwszy pocałunek miłości...

Nie będę was nudzić opisem mojej nieprzytomnej ekstazy. Brakło by mi zresztą słów do jej odmalowania. Wasi dzisiejsi autorzy robią to tak zręcznie w romansach,

Dokończenie na str. 20-ej.

TAK a nie TAK





Gospodarstwo domowe pozostaje w dzisiejszych czasach pod czułą opieką pań domu. Minęły bowiem bezpowrotnie czasy, w których pozostawiały one troskę o estetyczny wygląd swego mieszkania wyłącznie służbie. Niejednokrotnie pani domu zmuszona jest własnym przykładem wpajać w nieumiejętną Marysię czy Kasię podstawowe zasady utrzymania porządku w swoim gniazdku domowem. Aby móc jednak jakąś czynność należycie zademonstrować, trzeba wprzód wiedzieć, jak się ją wykonuje. Niestety bardzo wiele z pośród dobrych nawet gospodyń nie docenia znaczenia ekonomji ruchu w czynnościach domowych.

Jakżeż często słyszymy skargi na bóle w krzyżach, zmęczenie ogarniające ręce i nogi, na twarzy zaś czytamy obawę przed ewentualną dolegliwością któregoś z organów wewnętrznych. Tymczasem nie jest to nic innego, jak tylko nieumiejętne, nieekonomiczne wykonywanie pewnych czynności domowych, właściwe wszystkim paniom nieuprawiającym gimnastyki. Te panie, które się gimnastykują, męczą się znacznie mniej, mając





DBAJ O EKONOMJĘ RUCHÓW

mięśnie przyzwyczajone do celowych ruchów. Zwijając dywan odczuwa się już po kilku sekundach zmęczenie nóg, spowodowane nieodpowiednim skłonem tułowia, podczas gdy zwykłe kucnięcie jest o wiele ekonomiczniejsze i pozwala szybciej wykonać tę czynność. Podobnie jest z prasowaniem jedwabiów, którą to czynność z zasady nie powierza się służącej. Zaledwie pani zaczęła prasować a już zmęczone ręce odmawiają posłuszeństwa. Bardzo łatwo można temu zaradzić przez obniżenie deski do prasowania.





Najwięcej męczą się panie przy ścieraniu kurzy, a tak łatwo można tego uniknąć. Należy jedynie zapamiętać, że przy czynności tej powinniśmy wykonywać jak najmniej wszelkich skrętów i skłonów ciała, a pracować powinny jedynie ręce. Nawet taka na pozór prosta czynność, jak szycie na maszynie, może zepsuć nieprzyzwyczajonej gospodyni domu humor na cały dzień, jeśli nie będzie pamiętała, że należy siąść prosto na krześle, nie pochylając się do przodu, a ręce służą tylko do przytrzymania materjału, a nie do wykonywania pracy.

Przykłady te wykazują, że maksyma każdej umiejętnej gospodyni powinna brzmieć: Dbajmy o ekonomję naszych ruchów w gospodarstwie domowem, a osiągniemy maksymalny efekt naszej pracy przy minimalnym wysiłku i miast przykrego zmęczenia, będziemy zadowolone z wzorowej czystości naszego mieszkania.





TAK a nie TAK

SZABLON

czy

niezwykłość?



Szablon — szablonowy, oto określenia, które przyzwyczailiśmy się rozumieć zawsze jako ujemne. Naodwrót oryginalność, nieprzeciętność, niezwykłość są cechami z góry uznanemi jako dodatnie. — Zaryzykowałbym twierdzenie, że w tem jednem jak i drugiem apriorystycznem nastawieniu kryje się pewna szablonowość. O ile bezwzględnie zgodzić się należy, że jeśli chodzi o sztukę to tego rodzaju segregacja jest w pełni słuszna i uzasadniona, to pozatem w życiu jakże często szablon oddaje nam prawdziwe usługi, a niezwykłość psuje szyki, niepokoi lub gmatwa nasze sprawy.

Nie warto się rozwodzić nad ludźmi, którzy pozują na oryginalnych i nieprzeciętnych, bo ci już przez sam fakt swego pozerstwa i nienaturalności są zupełnie nieznośni i nie do strawienia. Ale weźmy pod uwagę ludzi którzy całkiem nawet szczerze i naturalnie zachowując się, postępowaniem swem wyłamują się z tak zwanego szablonu i popełniają tem samem różne ekstrawagancje. Przeważnie są to ludzie dla swego otoczenia raczej kłopotliwi. Przyznam się szczerze, że naprzykład jako gospodarz domu wolałbym na przyjęciu u siebie, takich nie mieć.

Widziałem raz na balu, bardzo zresztą przyzwoitego młodego uczonego, który przyszedł w czarnej marynarce i w pomarańczowym krawacie. Taki potrafi przyjść na wizytę i milczeć jak zaklęty, a to tylko dlatego, że rozmyśla sobie wtedy właśnie o czemś zgoła oderwanem od sfery zainteresowania otaczających go osób. Inny znowu czarujący dystrakt zacznie wymyślać na żydów przy damie, która jest żoną pionowego goja (pionowego — ponieważ brał chrzest w pozycji pionowej, poprostu na stojąco). Kiedy indziej będzie rozprawiać o różnych gatunkach postronków w domu powieszonego. Raz oprowadzałem jakiegoś ministra szwedzkiego po Wawelu. Dodano mi do asysty kobietę uznaną za nieprzeciętną, bo przecież przeciętnej nie posyła się do oprowadzania obcych ministrów, zwłaszcza po Wawelu. Otóż moja towarzyszka znalazła parę sposobności do wyklarowania z werwą naszemu gościowi, że Wawel byłby o wiele wspanialszy, gdyby w czasie „potopu" Szwedzi nie zrabowali i nie wywieźli co było lepszego. Zacny Szwed potakiwał oczywiście dobrotliwie.



I w samobójstwie istnieje szablon, nakazujący pisać „ostatnie słowa" przed strzałem, a nie po nim...



Kobieta — „stworzenie słabe", mdlejąc pod wpływem wzruszenia, szuka oparcia u „płci silnej" — ale chyba nie w ten sposób?

„Esquire"

Polska była do niedawna pepinierją różnych wszelakiego rodzaju niezwykłych typów, otoczonych sentymentem narodowym. Żyje u nas ciągle tradycja dziadków-oryginałów (oczywiście o złotym sercu) i babek-werydyczek. Osobiście podejrzewam, że to typy raczej nieznośne, zwłaszcza gdy ze stronic powieści Rodziewiczówny schodziły na codzień w życie swego otoczenia.

Słyszałem o takim zacnym szlagonie, który mając budować sobie nowy dwór kazał na upatrzonym przez siebie wzgórku porozstawiać meble, usiadł na fotelu w wybranem miejscu z dogadzającym mu widokiem i kazał założyć fundamenty naokoło tego już „urządzonego" mieszkania. Nie życzyłbym sobie, ani nikomu być architektem na usługach takiego „strasznego dziadunia".

Jako spuścizna tych czasów istnieje u nas duża wyrozumiałość dla różnych swoistych przejawów oryginalności. Pleść dyrdymały wolno u nas z wdziękiem lub namaszczeniem każdemu. Pewien podziwiany w Polsce aktor-reżyser teoretyzował raz w gronie zachwyconych nim pań na temat teatru. Rozwijał koncepcję teatru wrażeniowego, polegającą na tem, aby widz siedząc na widowni, swe wrażenia słuchowe i wzrokowe podparte miał jeszcze wrażeniami węchowemi, zharmonizowanemi z tem, co się dzieje na scenie. Oświadczyłem mu, że zespolenie wrażeń wzrokowych z węchowemi mamy już od dawna w cyrku i że o ile nie rozszerzy koncepcji swego teatru wrażeniowego w sferę smaku i dotyku, to oryginalność i niezwykłość tego pomysłu będzie niestety tylko połowiczna. Francuzi takie rozmowy nazywają „des divagations slaves" (słowiańskie majaczenia). Jestem zresztą głęboko przekonany, że ukuwając to określenie mieli na myśli Rosjan z ich principialnymi rozhoworami, a nie naszych „rodaków nocne rozmowy".

Niekiedy czar oryginalności jednak nagle pryska wśród zakłopotanych i niezdecydowanych min audytorjum. Byłem raz świadkiem jak wybitny polski artysta na przyjęciu w domu drugiego artysty zdradził nieoględnie wykwintnemu muzykowi-pięknoduchowi czem tenże był w poprzednim życiu (rzecz się miała o reinkarnacjach), a to wymieniając mu wielce wstrętnego i dokuczliwego małego pasożyta o złej reputacji. Towarzystwo się rozpierzchło po tym incydencie w ciągu kwadransa; co do mnie, to wychodziłem w nastroju wybitnie zdegustowanym do wszelkiej nieprzeciętności. Przypomniałem sobie słowa Hipolita Taine'a z jego delicyjnych „Spostrzeżeń pana Graindarge'a o życiu", gdzie w rozdziale o rozmowach i salonie zniecierpliwiony woła: „Wszystko tylko nie etykieta! Chodźcie na głowie, jeżeli wam się podoba, abyście tylko nie powtarzali oklepanych frazesów!" Szkoda, że go tu nie było — pomyślałem. Inna rzecz, że stare mądre francuzisko parę stron

dalej, namyśliwszy się trochę, pisze z całkiem innej beczki:

„Grzeczność nawet fałszywa jest bardzo przyjemna. Wszędzie żyjemy w niezgodzie, rywalizujemy z ambicją, kłócimy się w rodzinie, nie sympatyzujemy ze znajomymi. Na szczęście, przez dobrowolny układ, od siódmej do dwunastej wieczór panowie w czarnych frakach i damy z obnażonemi ramionami spotykają się uśmiechnięci, nadskakujący, pełni poszanowania, admiracji, nawet obopólnej sympatji, dowcipu i weseli nad wyraz. Jest to komedja wprawdzie, niech i tak będzie, ale pięć do sześciu razy w ciągu wieczora mam trochę iluzji: proszę znaleźć coś lepszego. Ponieważ szczęście i piękno nie istnieją, wynaleziono sztuki piękne, które je zastępują. Ponieważ dobroć i bezinteresowność nie istnieją również, wynaleziono świat, który je zastępuje w iluzji przynajmniej. Spróbuj się obejść bez tego, jedź do Stanów Zjednoczonych, spojrzyj na Jankesa, który zajada przy table d'hote z kapeluszem na głowie i mówi do ciebie dmuchając ci dymem w nos: „Cóż to za głupi świat ta stara wasza Europa! Zbiorowisko lokaji i zgnilizny! Ale wolna Ameryka zmiecie wkrótce to robactwo!" Słowo daję, wolę Chińczyka mego przyjaciela mandaryna Thong-Li w Szanghaju, który mi się kłania do ziemi, zapraszając mnie w piątek na postny obiad: „Obserwujemy dzisiaj reguły waszej religji, która jest o wiele ważniejsza od naszej".

A więc jednak etykieta! Mnie także ten Chińczyk wydaje się strawniejszy, choć na pewno jest szablonowy. I tu dochodzimy do sedna rzeczy. Wszak grzeczność przeważnie praktykowana jest szablonowo, przez powtarzanie tych samych zwrotów lub gestów. Niechże będzie nazwana zdawkową, byleby była. Ostatecznie nie możemy liczyć na wyjątki tego rodzaju jak książę de Saint Simon, wielki pan z dworu Ludwika XIV., o którym ktoś ze współczesnych powiedział, że „jest tak uprzejmy, iż nie potrzebuje być uprzejmy".

Szablon to powtarzanie się, powtarzanie się to brak niespodzianek, a brak niespodzianek to pewność obrotu. Tak naprzykład uporządkowany stan prawny w państwie daje pewność obrotu: wiadomo, że można skredytować, bo jutro nie ukaże się



Nawet dzicy, gdy raz wejdą w „mundur" cywilizowanego człowieka, trzymają się form obcowania, stworzonych przez nasz szablon życiowy. *„Esquire"*



Na lewo: Przebywanie w salonie w czasie przyjęcia w pozycji leżącej nikt napewno nie nazwie szablonowem, lecz niezwykłem...

ustawa wstecz działająca, która ograniczy lub przekreśli moją wierzytelność. Praworządność w państwie to także pewność obrotu, bo wiadomo, że nie będę siedział za drutami kolczastymi za czyn lub słowa, za które nie mogę siedzieć za kratami z tej prostej przyczyny, że nie są one zagrożone karą w kodeksie karnym danego państwa. Są to wyniki zdawna wynalezionych pożytecznych zasad, jak „lex retro non agit„ i „nulla poena sine lege poenali". Trzymanie się tych zasad to może szablon, w tych jednak wypadkach bardzo to dobry szablon, — i do djabła z niezwykłością i nieprzeciętnością pod tym względem.

Podobnie jak w życiu społecznem prawo, tak etykieta lub savoir-vivre dają nam, że tak powiem pewność obrotu w życiu towarzyskiem. Sądzę, że bezwzględnie lepiej jest wiedzieć co mnie czeka od kogo pod tym względem, choćby się to komuś miało wydawać nudnem lub śmiesznem. Wszyscy, którzy z wyższością wzruszają ramionami nad „przestarzałemi chińszczyznami jakichś tam savoir-vivrów" niech się chwilę zastanowią nad istotnym sensem tych wskazań, a zrozumieją, iż szablony te stworzone zostały bynajmniej nie celem skomplikowania życia, lecz przeciwnie ku jego uproszczeniu i uwygodnieniu, poprostu jako busola dla unikania gaf i nietaktów. Wszak osobisty instynkt niejednego może zawieść; nie każdy jest księciem de Saint-Simon, — choćby nawet był księciem.

Zła strona szablonu, monotonja, skazała go na to, aby stał się synonimem nudy i płaskości. Prawdziwa oryginalność jest rzeczą chyba najrzadszą. Rodzi się z naturalności połączonej z wielką inteligencją. Ale i wówczas nie będzie jeszcze cechą naprawdę dodatnią, o ile nie będzie towarzyszyć jej rozum i delikatność. Jeżeli się na to zgodzimy, to zrozumiemy iż trudno jest liczyć na częstsze z nią spotkanie. Na codzień więc, w życiu, doceniajmy dobre, pożyteczne szablony. Zdrowsze są one aniżeli różne oryginalności nie pierwszej jakości.

Almaviva.



Plotka ma swój odwieczny szablon, a plotkowanie przeszkadza z reguły wychowawczyni w czuwaniu nad zachowaniem się dziatwy, które jest również tylko szablonem...

MIASTO ⋆ W ⋆ NOCNEJ ⋆ GALI



Ogólny widok Zurychu w nocnej gali (zdjęcie dokonane z Ütliberg).



Podobnie jak w Krakowie królują nad Zurychem wieżyce starych kościołów...



Najstarsza dzielnica miasta, położona nad brzegami Limmathu.



Wieża kolejki linowej, idącej nad jeziorem zurychskiem (fragment wystawy).



Wspaniale prezentuje się na wystawie dział elektryczny...



Imponujący fronton dworca kolejowego w Zurychu, oświetlony neonami.

Zdjęcia: Zygmunt Borzęcki, Zurych.



Zurych — metropolja Szwajcarji — miasto liczące 330 tys. mieszkańców — jest w pełni sezonu letniego. Największą jego sensacją jest obecnie — Szwajcarska Wystawa Narodowa — uroczo położona na obu brzegach jeziora zurychskiego. Przyciąga ona setki tysięcy ciekawych, którzy snują się po niej od rana do późnej nocy. Na ulicach, na wystawie, w restauracjach, kawiarniach, dancingach — istna wieża babel. Krzyżują się wszystkie języki i rasy świata. Z samej wystawy, będącej istnem cackiem, której wybudowanie kosztowało 25 miljonów franków szwajcarskich — może być Szwajcarja dumna. Stali bywalcy wszelakich wystaw światowych twierdzą, iż takiej rozkosznej chociaż niewielkiej wystawy, urządzonej z takim smakiem, gustem, fachowością i z takiemi doskonałemi urządzeniami technicznemi — nie oglądali ani w Paryżu, ani w Wembley, ani Barcelonie. Nic też dziwnego, że od początku maja, aż po dzień dzisiejszy liczba zwiedzających dochodzi już do olbrzymiej cyfry 4 miljonów. Tu dodać należy, iż tę właśnie ilość, dyrekcja przewidywała przez cały ciąg otwarcia wystawy, a więc do końca października.

Godną i odpowiednią też szatę przybrało samo miasto, jak i tereny wystawy w porze nocnej. Doprawdy imponująco wygląda teraz Zurych w nocy. Jak z bajki. Istna orgja świateł. To też nie bez słuszności nazwał ktoś w mojem towarzystwie Zurych patrząc w nocy z okolicznego Zurichbergu na to morze światła — idąc za Paryżem: „miastem świateł Nr. 2".

Dokończenie na str. 20-ej.

Na lewo:
Sławna „Grossmünster" z pomnikiem H. Waldmanna na pierwszym planie.

Na prawo:
Wieża dzwonów na wystawie narodowej w Zurychu, która wydzwania melodje ludowe.



Tajemnice życia POTWORÓW MORSKICH



Wspaniały okaz morsa, czyli konia morskiego.

Sylwetki przedstawicieli świata zwierząt mieszczą się jeśli o rozmiary chodzi w bardzo szerokich granicach. Niewątpliwie najmniejszemi są zwierzęta o budowie najniższej, a przedewszystkiem pierwotniaki, wśród których znajdują się i takie o wymiarach zaledwie 0,005 mm, a nawet i mniejszych. Wśród owadów znamy błonkówki, mierzące tylko 0,2 mm, a więc pozostające na granicy zaledwie dostrzegalności. Znacznie większe są już ptaki i ssaki. Pięknie ubarwione kolibry są mniejsze od niejednego z motyli; jeden z nich z Peru i Ekwadoru, mierzy zaledwie około 4 cm długości, a tylko niewiele większy jest nasz mysikrólik. Najmniejszemi ze ssaków są ryjówki i niektóre nietoperze.

Gdy chodzi o górną granicę wielkości zwierząt, to największe zwierzęta zgrupowane są w gromadzie ssaków. Nie dochodzą one do wielkości tych zwierząt, które żyły na naszej ziemi w minionych epokach geologicznych, osiągając niekiedy, a nawet przekraczając wielkość 30 metrów. Lecz i wśród współczesnego królestwa zwierząt znaleźć można prawdziwe olbrzymy. A jednak nie wśród słoni czy hipopotamów należy szukać zwierząt przodujących wielkością swego ciała. Największe olbrzymy — to mieszkańcy niezmierzonych obszarów oceanicznych, dających jeszcze ciągle mimo postępującej gospodarki człowieka dużo swobody swym lokatorom.

Jakżeż często mylnie zaliczane są do ryb wieloryby razem ze swemi krewniakami kaszalotami, potwalami i delfinami. Przypominają je swym zewnętrznym kształtem i trybem życia, a zwłaszcza przebywaniem wyłącznie w wodzie. W rzeczywistości jednak budowa anatomiczna waleni, grupująca te zwierzęta, znacznie bliższą jest budowie konia czy słonia, aniżeli rekina, chociażby na pierwszy rzut oka mogło się to dziwnem wydawać.

Ciało waleni, przystosowane do życia w wodzie, z której na ląd wyjść one nie potrafią, zakończone jest poziomą płetwą ogonową, pracującą na kształt śruby okrętowej. Zwierzęta te żywią się prawie wyłącznie drobnemi żyjątkami, rozmaitymi ślimaczkami i raczkami, a rzadko tylko rybami.

Przedstawicielem wielorybów jest wal grenlandzki, zamieszkujący północne obszary oceanów Atlantyckiego i Spokojnego. Dochodzi on do 25 metrów długości, a sama paszcza jest tak olbrzymia, że z łatwością mogłaby pomieścić łódź z załogą. Stąd, zwłaszcza w dawniejszych czasach krążyła wśród marynarzy niejedna fantastyczna opowieść o napadnięciu przez wieloryby. W rzeczywistości są to zwierzęta zupełnie niewinne, żywiące się drobnemi morskiemi zwierzątkami, które pochłaniają w olbrzymich ilościach. Po obu stronach paszczy zwisają ogromne czarne fiszbiny w ilości po 300—400 sztuk po każdej stronie, a dochodzące nieraz do 5 metrów długości. Zarówno tym fiszbinom, jak i tranowi, którego dorosły wieloryb dostarcza w ilości kilkunastu tysięcy litrów, zawdzięczają wieloryby prześladowanie ze strony człowieka. Ostatnie lata przyniosły tak znaczne zmniejszenie się ilości tych olbrzymów morskich, że specjalne międzynarodowe konferencje i zjazdy obradują nad środkami zaradczemi, ograniczając bezlitosne polowania łowców wielorybów.

Krewniakami wielorybów właściwych są płetwale, odróżniające się posiadaniem płetwy grzbietowej. Wśród nich zdarzają się olbrzymy dochodzące do 30 metrów długości, jak płetwal błękitny, znany z mórz norweskich. Na płetwale poluje się podobnie jak na wieloryby dla zdobycia tranu i fiszbinów.



Długość cielska słonia morskiego dochodzi do 5 metrów.

Przedstawicielami waleni posiadających zęby są potwale, kaszaloty i delfiny. Na potwale, które nieraz przekraczają długość 20 metrów, poluje się nietylko dla tranu, lecz także dla zdobycia olbrotu i ambry. Olbrot, który w stanie świeżym jest płynem prawie bezbarwnym, w niższej temperaturze krzepnie na białą woskowatą masę, posiadającą zastososowanie w lecznictwie, kosmetyce i w wyrobie świec. Ambra, wydobywana z żołądków potwali, stanowi lekką woskowatą masę o bardzo miłym zapachu, dzięki czemu używana jest w przemyśle perfumeryjnym.

Bliskimi krewniakami waleni o podobnym wyglądzie zewnętrznym są syreny o wrzecionowatym kształcie ciała i poprzecznej płetwie ogonowej. Są to zwierzęta roślinożerne, o mało znanym do niedawna trybie życia. Największym przedstawicielem syren jest krowa morska, niestety już zupełnie wytępiona. Było to potężne zwierzę, dochodzące do 10 metrów długości i żyjące w licznych stadach w północnych obszarach Oceanu Spokojnego. Po raz pierwszy została krowa morska opisana przez Stellera w połowie XVIII-ego wieku, który przez 10 miesięcy przebywał na wyspach Beringa. Mieszkańcy Kamczatki polowali na krowy morskie dla mięsa i tłuszczu. Waga dorosłego zwierzęcia dochodziła do 20.000 kilogramów. Bezlitosne tępienie tych mało ruchliwych zwierząt sprawiło, że już po kilkudziesięciu latach t. j. z końcem wieku XVIII-ego nie zachował się ani jeden okaz tego olbrzymiego zwierzęcia. Zniknął z powierzchni ziemi, jak nieco wcześniej nasz tur, nierzadki jeszcze przed paroma wiekami.

Dzisiaj żyjącym krewniakiem krowy morskiej jest tajemnicze nocne zwierzę, zwane diugoniem, zamieszkujące wybrzeża oceanu Indyjskiego, Australji i Nowej Gwinei. Niezgrabne to, nieco przypominające hipopotama zwierzę, żywi się morskiemi wodorostami, na które żeruje wyłącznie nocą.

Zwierzętami, o wielkich rozmiarach, żyjącemi w morzach i na wybrzeżach morskich, są słonie morskie i morsy. Jedne i drugie — to bliscy krewni fok, znanych w licznych gatunkach z mórz całej kuli ziemskiej.

Słonie morskie, dochodzące do 5 metrów wielkości, zamieszkują zarówno wody antarktyczne jak i arktyczne. Podobnie jak i inne foki, zwierzęta te na lądzie poruszają się powoli i niezgrabnie, łatwo też padają od kul i harpunów myśliwych, polujących na ich skóry i tłuszcz, z którego wytapia się tran.

Podobnej wielkości są morsy, zwane również końmi morskimi. Odznaczają się one potężnemi kłami, skierowanemi ku dołowi, które niekiedy mogą być bardzo niebezpieczne dla harpunników, ścigających morsy w łodzi. Z kłów tych Eskimosi sporządzają różne narzędzia i przedmioty codziennego użytku lub ozdoby; ze skóry wyrabiają rzemienie, liny i sieci. Morsy zamieszkują obszary podbiegunowe. Dawniej jednak — w okresie epoki lodowej — żyły i dalej na południu, jak o tem świadczą znajdywane szczątki, nierzadkie w północnej Europie i Ameryce.

Nieco mniejsze od morsów są lwy morskie, o wielkości do 4 metrów, posiadające ciało pokryte krótką i błyszczącą sierścią. Znane są one głównie z wybrzeży Kalifornji i morza Beringa. Znaczne ich ilości zmniejszają się obecnie szybko wskutek prześladowania ze strony człowieka, który wykazuje coraz większe zapotrzebowanie na najróżnorodniejsze surowce, a więc i tłuszcz.

Ustawicznie zmniejszają się obszary, na których mogłyby żyć swobodnie większe zwierzęta. Na niedostępne jeszcze niedawno wybrzeża i dalekie wody wyruszają całe flotylle statków wielorybniczych i łowców fok, olbrzymie spustoszenia czynią prawdziwe pływające fabryki, przerabiające na miejscu upolowaną zdobycz. Obawiać się należy, że o ile tępienie nielicznych jeszcze olbrzymów królestwa zwierząt posuwać się będzie w tem samem tempie, co w ostatnich dziesiątkach lat, to w niedługim czasie jedynemi dowodami życia tych zwierząt będą ich bielejące kości na opustoszałych wybrzeżach i wypchane okazy w muzeach zoologicznych.

Dr. M.

★ Gwiazdy na week-endzie ★

Loda NIEMIRZANKA



Na tarasie stołecznego „Yacht-Clubu".

Gdyby Dante tworzył swe „Piekło" w dzisiejszych czasach, nie omieszkałby z wszelką pewnością zainscenizować jednego z obrazów w atelier filmowem, w upalny dzień letni. Byłby to obraz przejmujący grozą i dreszczem. Taki nowoczesny kocioł czarownic, podsycany tysiącami wolt rozżarzonych jupiterów. Leje się ogień z góry, z dołu, tryska strumieniami z boku, z przodu, ogarnia cię całego, przenika od pięt do mózgu. Nie wymkniesz mu się, nie uciekniesz nieszczęsny potępieńcze! Na rozkaz wielkorządcy piekieł w osobie wszechwładnego reżysera musisz cały dzionek prażyć się w tej ognistej ławie słońc elektrycznych. Tańczyć, skakać, chociaż pot ciurkiem spływa ci na gors wykrochmalonej koszuli frakowej, a najcieńszy jedwab wykwintnej toalety zamienia na kostjum kąpielowy prosto „z pod rynny". Musisz prawić czułe słówka, roztaczać urok najsłodszych uśmiechów, gdy najchętniej zgrzytnąłbyś z rozpaczy zębami, rzucił wszystko do djabła i poszedł pod prysznic.

I nasza przemiła gwiazda filmowa Loda Niemirzanka smaży się tego lata w tem filmowem piekiełku. Za jakie grzechy? — pytam. Wiadomo. Jest śliczna, zgrabna, ładnie śpiewa, tańczy, posiada pełnych 100% sex-appealu i jest niezastąpiona w rolach rozkosznych kobieciątek. To wystarczyło, żeby jej zaaplikować męki pierwszego stopnia, ze specjalnem przysmażaniem „na żywca".

— Pani Lodo, jak pani znosi te męczarnie? — pytam artystki, odwiedziwszy ją w przerwie zdjęć, w ogródku atelier filmowego przy ulicy Wolskiej, gdzie nakręcają obraz „Ja tu rządzę". Pani Lody nikt jeszcze nie widział w złym humorze. Więc i teraz mimo zmęczenia i upału jaśnieje cała uśmiechem.

— Doskonale — odpowiada na moje pytanie. — Kocham „grać" tak na scenie, jak i w filmie. A wiadomo przecież, że aktor za dobrą rolę poszedłby w ogień. Cóż zatem znaczy te czterdzieści czy pięćdziesiąt stopni „ciepełka" jupiterów!

— A ma pani przynajmniej dobrą rolę?

— Owszem, gram taką trochę zwarjowaną aktoreczkę.

— Ale mimo całego zapału do sztuki taka praca w filmie i to w dodatku latem musi jednakże szalenie wyczerpywać aktora?

— To swoją drogą. Grunt jednakże nie przejmować się. To moja zasada. W okresie nakręcania filmu ma się przecież dosyć wolnych dni i można je, nawet siedząc w Warszawie, cudownie wykorzystać.

— Wobec tego niech pani zdradzi tajemnicę swego dobrego samopoczucia.

— A więc przedewszystkiem wycieczki za miasto. Mamy moc w najbliższem sąsiedztwie Warszawy pięknych miejscowości letniskowych, wspaniale zalesionych, z plażami, basenami, no i z dobremi restauracjami, co jest również bardzo ważne. Nie samem powietrzem człowiek żyje, nieprawdaż? Och, wygląda to tak, — śmieje się artystka — jakbym była jakąś specjalną smakoszką i wielkim żarłokiem. Nic podobnego! Chciałam tylko zaznaczyć, że i u nas wreszcie, za przykładem zagranicy, zaczynają w podmiejskich letniskach dbać o gości. Pod Warszawą powstają coraz to nowe bardzo eleganckie restauracje i pensjonaty, gdzie latem zjeżdża najlepsze towarzystwo na niedzielne week-endy.

— A co pani porabia, gdy niema czasu na całodzienną wycieczkę za miasto?

— Wtedy idzie się do „Jacht Clubu" nad Wisłę. Tam znów swoboda nieograniczona. Kostjum kąpielowy, słońce, plaża. Wprawdzie Wisła to nie morze, ale dla mieszczucha jest i tak źródłem nieograniczonych rozkoszy. A grunt to ten orzeźwiający wiaterek, powiewający od wody. Tak na dobrą sprawę, przy odrobinie fantazji i z zamknięciem oczu na beznadziejną szarość nurtów Wisły, można sobie, leżąc na nadwiślańskim piaseczku, wyimaginować najcudniejsze obrazy, które się kiedyś nad błękitnem morzem Południa widziało. Zwłaszcza, że nasz tegoroczny upał nie ustępuje w niczem południowemu...

— Jest pani wspaniała w swym optymiźmie życiowym!

— Och, — śmieje się pani Loda. — Ten mój pogodny światopogląd zawdzięczam piosence, którą ongiś śpiewał Krukowski. „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma". Nie mogąc tego lata jak zazwyczaj wyjechać do Italji, zadawalam się miejscowemi przyjemnościami i rozrywkami sezonu letniego stolicy. Innem urozmaiceniem są moje wyjazdy na gościnne występy do miast prowincjonalnych. Obecnie wybieram się z zespołem „Teatru 8.15" do Krakowa, gdzie grać będziemy „Barona Kimmla", operetkę, która podbiła Warszawę. Sądzę, iż to samo stanie się i w Krakowie tembardziej, że razem ze mną wystąpią artyści tej miary, co Sielański, Z. Ordyńska, I. Soboltówna, W. Zdzitowiecki, E. Wojnar i in. Z. O.

Dokończenie ze str. 9-tej.

— Zapewne Grabowskiemu, jako swemu kolatorowi, winien jest ten domek Boży kilka swych osobliwości — mówi ks. proboszcz Schmidt, oprowadzając nas po skończonem nabożeństwie.

— Najciekawszej rzeczy, niestety, pokazać państwu nie mogę, bo już oddano w depozyt do Muzeum diecezjalnego w Poznaniu. Jest to bardzo stara figurynka Madonny z wczesnego średniowiecza, jedyny okaz tego typu i tej techniki artystycznej na ziemiach polskich.

— A skądże tu zawędrowała?

— Przypuszczam, że posiadał ją wpierw bogaty w zabytki klasztor w Owińskach, po którego kasacie nabył ją pan Grabowski.

Stare kościółki drewniane wypełnia zazwyczaj sprzęt religijny, nieciekawy, nowoczesny, fabryczny. W Łukowie inaczej. Widać to i w presbiterjum, które może się pochwalić starannym ołtarzem głównym w stylu rokoko, ciekawem baptisterium i bardzo interesującą, drewnianą „Pietà" z czasów renesansu. A przewodzi wszystkiemu imponujący archanioł Michał. Z jednego kloca wyrzezany prymityw, pełen siły i wyrazu. Jak inne zabytki krył on się dotąd w cieniu, gdzieś na poddaszu świątyńki. Teraz wróci do dawnego splendoru, wydobyty przez gorliwego proboszcza i cały kościółek z nim razem. Trafiliśmy bowiem na dzień radosny dla Łukowa. Znalazły się właśnie pieniądze na odnowę świątyńki, konserwator wojewódzki dr. Dalbor zatwierdził plan, będzie położona nowa podłoga i dokonany remont ogólny.

— Jutro zaczynamy! — woła ks. Schmidt z radością. Jeszcze nie byliśmy w zakrystji. Jest tam kilka ciekawych ornatów. Resztki starych adamaszków i brokatów, relikty z pasów słuckich, lub cieniutki jedwab ośmnastowiecznej toalety ślubnej — uratowane od zagłady, w całej krasie barwy i złocistych nitek.

— Cóżby jeszcze? Ano tu w Łukowie już nic więcej niema. Chyba u mnie... Mam kilku ciekawych parafjan — mówi ks. Schmidt, uśmiechając się tym śmiechem właściciela zbiorów, który dopiero część swych osobliwości pokazał.

Łukowo jest bowiem kościółkiem filjalnym, parafja mieści się w odległem o kilka kilometrów Rożnowie, w pobliżu głośnych dziś i modnych w całym kraju Miłowód (gdzie zakład wodoleczniczy).

Jedziemy tedy do Rożnowa. Jak przedtem, szlakiem Adama Mickiewicza, tak teraz śladami jego brata. Franciszek Mickiewicz bowiem bawił w Łukowie do czasu, gdy tam gospodarzył jego przyjaciel Grabowski. Z chwilą gdy ten nie mogąc powiązać końca z końcem wyjechał do Poznania, rezydent łukowski przeniósł się do Rożnowa i tam dożywał wieku swego u pp. Baranowskich. I tam opodal kościoła mieści się jego grób. Składamy wiązankę kwiatów na pięknie utrzymanym grobowcu i dowiadujemy się, że grób brata poety nie jest jedyną uwagi godną pamiątką parafji.

— Mamy starszych jeszcze parafjan — objaśnia z dumą ksiądz broboszcz. Niedawno wyszło na jaw z dokumentów odszukanych w Poznaniu, że zmarły tamże bohater z pod Zbaraża, ten, który przedarł się do króla z wieścią, że oblężona forteca ginie z głodu i moru — Skrzetuski jednem słowem! — był parafjaninem Rożnowa, zapisuje bowiem w testamencie swoim grunta rodzinne krewnym.

— Więc nietylko „Pan Tadeusz" ale i trylogja!

— Jeszcze można Krzyżanowskich dodać. Rodzice generała Krzyżanowskiego, słynnego bojownika o niepodległość Stanów Zjednoczonych w połowie XIX wieku, pochodzili z Rożnowa.

— A więc i Chopin jeszcze! — dodaję zdumiony — bo z tych Krzyżanowskich pochodziła pani Justyna.

Niema chyba w całej Polsce parafji wiejskiej, któraby tyloma, z tak różnych epok pochodzącymi wiernymi pochlubić się mogła.

— Czy nie korci księdza proboszcza myśl napisania monografji o tych obu świątyniach, w Łukowie i Rożnowie?

— Czy korci? — odpowiada ks. Schmidt z westchnieniem — i prowadzi nas do ogrodu, na ekskuzę. Czegóż tu niema. Przepyszny wirydarz, pełen osobliwości rozmaitych, wymagających wielkiej troski i pielęgnacji. Jest bowiem proboszcz rożnowski zamiłowanym ogrodnikiem i chyba w długie wieczory zimowe znajdzie chwilę wolną na szperanie w księgach.

* * *

...Spędziwszy święta Bożego Narodzenia w Łukowie, podążył Mickiewicz na Nowy Rok (1832) do Objezierza. A tem chętniej skorzystał z zaproszenia Wincentego Turny, że miał tu się spotkać z młodym poetą, który zostanie wkrótce jednym z najserdeczniejszych przyjaciół, Stefanem Garczyńskim. Zamieszkali obaj ze Stefanem, krewnym gospodarzy w małej oficynie obok pałacu. Garczyński przyznał się Mickiewiczowi, że również wiersze pisuje. Odczytał mu też ustępy z poematu „Wacława Dzieje". Uniesiony pięknem utworu Mickiewicz powiedział nazajutrz żartobliwie do pani Turno: „A to pięknie! zaprosiła mnie pani do Objezierza, aby mnie tu z Parnasu strącili".

Konie parskają z uciechy. Wracamy do domu. Niema już tej oficyny, w której poznali się poeci. Została tylko pamięć ich słów i został pałac w Objezierzu. Mocny nietylko piękną tradycją przeszłości, ale i mrówczą pracą dnia dzisiejszego.

Dokończenie ze str. 12-tej.

które czytujecie! Mogę zato z całą ścisłością powtórzyć każde słowo, które zostało wypowiedziane w czasie tej sceny. Rozumiecie sami, że żadnego z nich nie wypowiedziałam ja...

Oto ja, brzydka, niezauważana nigdy dziewczyna, słyszałam się nazywaną najczulszemi wyrazami miłości. Byłam w tej chwili najdroższą, upragnioną, jedyną... Byłam kwiatem, i słońcem i wiosną... Byłam zaklętą królewną i najcudniejszym z cudów świata... Byłam radością oczu i szczęściem życia...

Miłość i noc przystroiły mnie we wszystkie skarby, o których marzą spragnione serca kobiece. Ta jedna, krótka, przez los podarowana mi chwila, obsypała mnie bogactwem, godnym zazdrości najpiękniejszych dziewcząt. Byłam, jak najdroższy klejnot na sercu mego ukochanego...

A las wkoło szumiał wciąż, szumiał groźbą, czy ostrzeżeniem.

Nie słyszałam jego głosu.

A potem, z za wysokich sosnowych czubów wypłynął księżyc. Napełnił las tajemniczą, bajkową poświatą i oblał srebrnym światłem polanę pod dębem.

Wówczas uciekłam.

Niech mi nie mówi nikt z was, że postąpiłam, jak złodziej, że kradłam nie dla mnie przeznaczone skarby!

Jedno jest pewne: dziś jeszcze błogosławię ciemność, która dała mi rzecz najrzadszą i najcenniejszą w człowieczym życiu: spełnione marzenie.

To była moja własna, jedyna chwila upojenia i rozkoszy, której nikt mi nie odbierze. To jest moja własna, pierwsza i ostatnia romantyczna przygoda.

Zasuszyłam ją we wspomnieniu, jak suszy się kwiaty w starej książce. Zblakła też na pozór, zwiędła i straciła zapach i barwę. Ale gdy padnie na nią choćby jedna łza, ożywia się, nabiera dawnych kolorów, dawnego uroku i woni.

Teraz wyjęłam dla was ze starej książki ten zasuszony kwiatek.

Czujecie, jak pachnie?

Dokończenie z str. 17-tej.

Podajemy dzisiaj czytelnikom szereg oryginalnych zdjęć — tak z miasta, jak też i wystawy — z których można sobie wyrobić pojęcie o nocnym wyglądzie Zurychu — tego najruchliwszego i najbogatszego miasta Szwajcarji — nazwanego też „miastem międzynarodowem" — mieszka w nim bowiem stale około 60 tys. cudzoziemców między którymi znajduje się nawet „prawdziwy" maharadża indyjski, jeden z najbogatszych ludzi świata.

Zurych, którego dzień, a raczej wieczór kończył się punktualnie do niedawna już o 12-tej w nocy, rozbrykał się teraz niemożliwie. Lokale otwarte do trzeciej nad ranem — tak w mieście jak i na wystawie — wszędzie i zawsze przepełnione. Po lśniących ulicach przewalają się do późnej nocy tłumy rozbawionych ludzi, śmigają niezliczone, luksusowe limuzyny możnych tego świata.

Tłum zwiedzających wystawę wie o ciężkich, zwisających nad całą Europą chmurach, ale nie myśli o tem. Dzisiaj pije Zurych szampana i wino, tańczy przy dźwiękach doskonałych, symfonicznych zespołów jazzowych, ogląda słynne londyńskie „16 Gordon Ray girls", wypełnia codziennie do ostatniego miejsca budzący sensację teatr mody (o czem bliżej w najbliższym czasie) oraz imponujący palais d'attraktions — o jutrze zaś będzie myślał jutro...

Zygmunt Borzęcki (Zurych).

POLNĄ DROGĄ...
Fot. M. WĄTOREK — LWÓW.

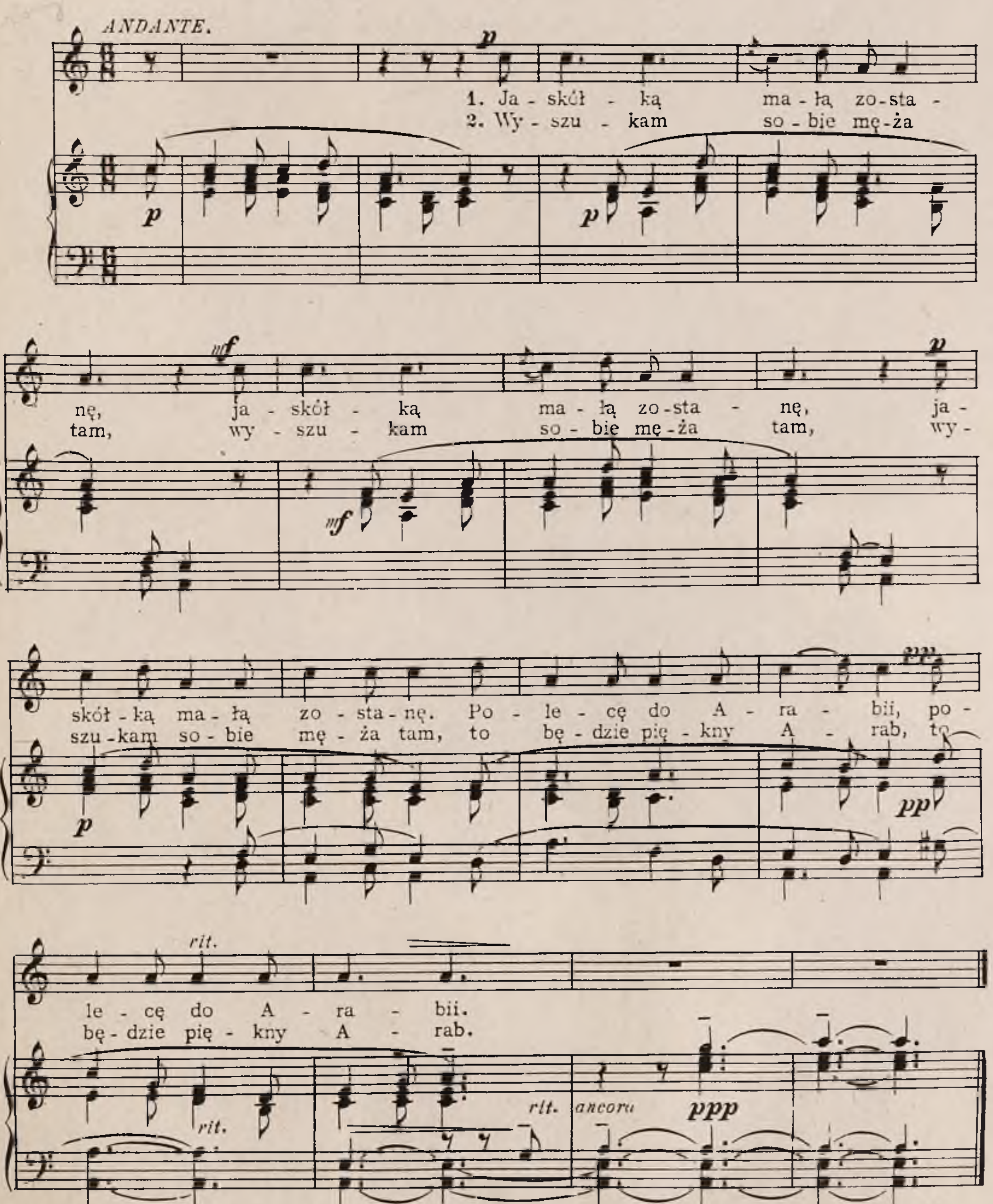


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

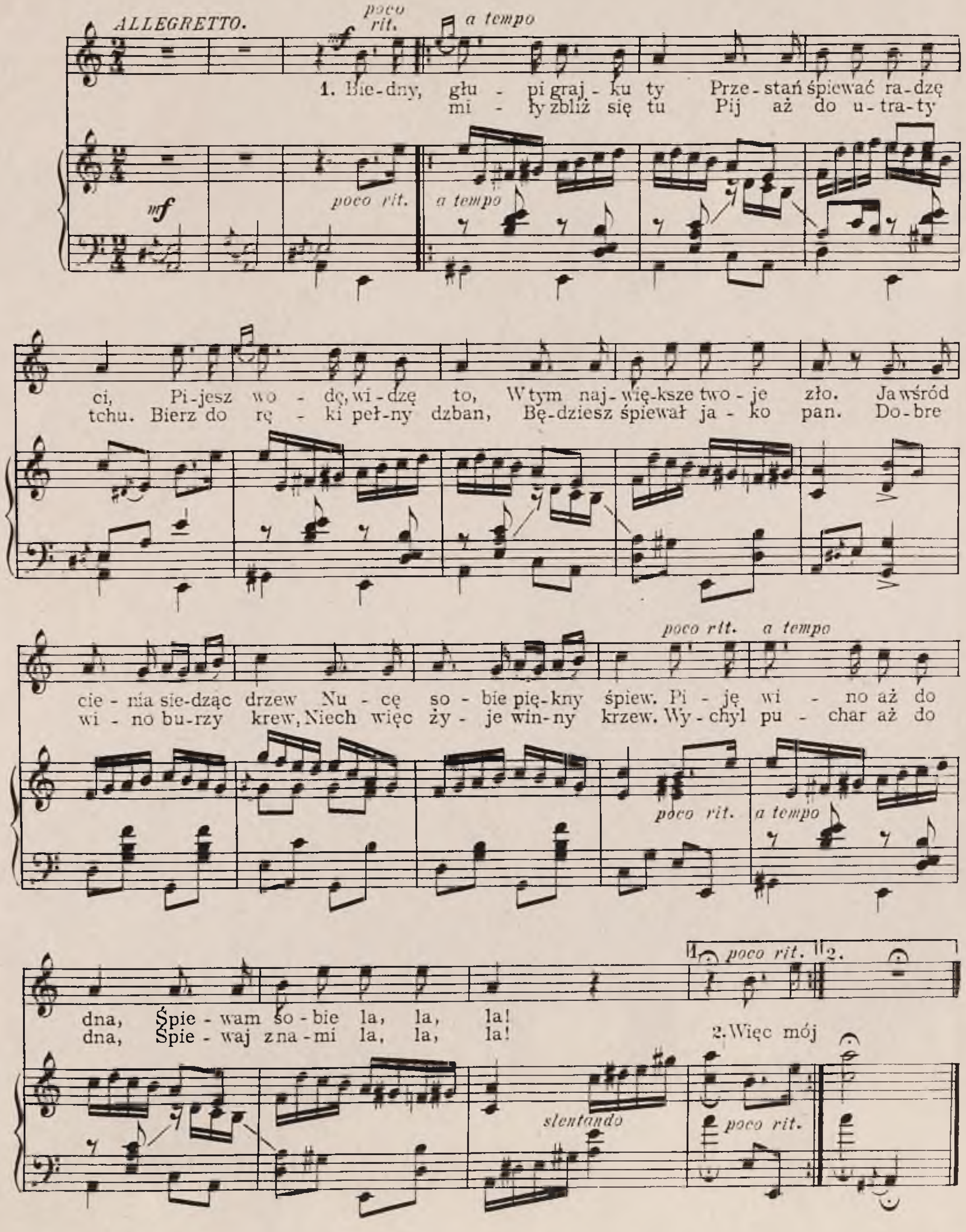
NOWOGRECKIE PIEŚNI LUDOWE

MUZYKA I SŁOWA POLSKIE:
WŁODZIMIERZ POŹNIAK

1. GDY BĘDĘ JASKÓŁKĄ...



2. WĘDROWNY ŚPIEWAK.



Życie
TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

ŚLUB W POMORZANACH.

Z końcem ub. miesiąca odbył się w Pomorzanach (Wielkopolska), majątku pp. Janostwa Chelmickich ślub p. Haliny Chrzanowskiej, córki b. dyrektora lasów państwowych Kazimierza Chrzanowskiego, z p. Oskarem Kirn-Staboszewiczem, członkiem Rady Handlu Zagranicznego, synem właściciela dóbr śp. inżyniera Antoniego Staboszewicza. Ceremonja ślubna zgromadziła przedstawicieli najbliższej rodziny i przyjaciół Państwa Młodych, których widzimy na zdjęciu obok, zebranych przed pałacem w Pomorzanach. Po ślubie udali się Państwo Młodzi w podróż do Nowego Jorku na pokładzie M. S. Batory.



Fot. Wiktor Nowicki, Gniezno.

Z U. S. A. NA POLSKIE EKRANY



Ostatnio bawiła w Polsce przez szereg tygodni znakomita tancerka opery w Bostonie i artystka dramatyczna teatru nowojorskiego p. Lidja Zadora-Szuwalska, żona dyrektora znanej polskiej ajencji radjowej „Głos Serca" w Nowym Jorku p. W. Zadory-Szuwalskiego. Polskie sfery filmowe zainteresowały się osobą p. Szuwalskiej, która stanęła przed objektywem studja „Falanga" w Warszawie do próbnych zdjęć. Nakręcona taśma wykazała wielką fotogeniczność urody artystki, wdzięk ruchów i prawdziwy talent aktorski. P. Szuwalska wraca obecnie z mężem do Nowego Jorku, by tam wypełnić obowiązki wynikające z kontraktów teatralnych, poczem na przyszły rok ma zamiar przybyć ponownie do Polski i wziąć udział w jednym z projektowanych filmów. Fot. Van Dyck — Warszawa.

NOWY SEZON TEATRALNY

Poniżej: Wśród zmian, które zanotowały kroniki teatralne z rozpoczynającym się nowym sezonem w zespołach aktorskich, na uwagę zasługuje przejście utalentowanej artystki p. Hanny Bielskiej z teatru krakowskiego na scenę poznańską. Pobyt p. Bielskiej w teatrze im. Słowackiego zaznaczył się szeregiem ciekawych kreacyj, m. in. w „Sercu Balbiny" Crommelyncka, „Temperamentach" Cwojdzińskiego i w „Obronie Ksantypy" Morstina. Talent choreograficzny artystki był też niejednokrotnie przydatny w opracowywaniu scen baletowych, jak np. w „Weselu Figara". Na zdjęciu: Hanna Bielska w „Temperamentach".



WYSTĘPY L. SZCZEPAŃSKIEJ

Poniżej: Wybitna śpiewaczka operowa i operetkowa p. Lucyna Szczepańska, primadonna stołecznego „Teatru 8,15", bawiła ostatnio wraz z zespołem tej sceny w Krakowie, gdzie kreowała tytułową rolę w melodyjnej operetce Lehara „Skowronek". Występy p. Szczepańskiej stały się prawdziwą biesiadą muzyczną dla publiczności, która też gorąco oklaskiwała poszczególne sceny operetki. Na zdjęciu: Epizod z odwiedzin zespołu „Teatru 8,15" w Pałacu Prasy" — trzy gracje na tarasie Koncernu I. K. C. (stoją od lewej) pp. Czerska, Szczepańska i Kraszewska.

Fot. Magazyn „As".



IRENA WIELGUSÓWNA

Zagubiona Melodja

NOWELA

Andrzej był człowiekiem samotnym, pomimo lat niespełna trzydziestu.

Miał zmęczone, jasne oczy, czuprynę rdzawego koloru, przeważnie rozwianą i sięgającą niemal do karku. Zapewne dlatego, że był muzykiem.

Tryb życia prowadził trochę dziwny. Wieczorami, aż do północy, grywał w starym, powszechnie szanowanym lokalu. Grywał to, co było objęte programem. Tanga i sonaty, wiedeńskie walce i stare, ludowe pieśni.

Gdy stawał na niezbyt wysokiem podjum, tuż obok pianina, zapadał jakgdyby w sen. Jego biała, wąska twarz, nawpół zmrużone oczy, ruchy rąk łagodne i jakby omdlewające, wywoływały obawę, że skrzypek w pewnym momencie naprawdę zaśnie i grać przestanie. Jednakże nigdy nic podobnego się nie stało. Sztywne karty, rozłożonych nut przewracane były zawsze w porę, ruchem miękkim i ledwo dostrzegalnym, jak przelotna nieuświadomiona pieszczota. Melodja, wydobyta z Andrzejowych skrzypiec zawsze wiązała się z orkiestrą dyskretnie i zręcznie, partje solowe były niezmiernie czyste i opanowane.

W przerwach, między jedną melodją a drugą, Andrzej siadał na niskiem krzesełku, lecz wyraz jego twarzy nie ulegał żadnej zmianie, jakby sen trwał nadal.

Sala zazwyczaj bywała pełna. Drzwi wejściowe kołysały się niemal bez przerwy naprzód i wstecz. Ich stłumione klekotanie mieszało się z jednostajnym szumem pracującego wentylatora, brzękiem szkła i strzępami słów, zamienianych przy wielu kwadratowych żółto nakrytych stolikach. Całość stwarzała chaos, który po wsłuchaniu się, utrwalał się w monotonję odurzającą i jakby senną.

Zapewne dlatego skrzypek i w przerwach nie unosił powiek z nad przymrużonych oczu.

Kiedy na okrągłym zegarze, wiszącym nad bufetem dwie zielono połyskujące wskazówki zbiegały się z północą, Andrzej powoli wsuwał skrzypce do pokrowca i wychodził.

Powróciwszy do domu nie kładł się spać, lecz zapalał wysoką naftową lampę, otwierał okna i długo siedział bez ruchu przy stole, na którym położył skrzypce i kapelusz. Skupiał myśli i melodje.

A miał ich wiele, gdyż później, aż do jasnego rana wystukiwał na fortepianie pojedyncze tony i skomplikowane akordy, z których wreszcie wykwitała melodja.

Znaczył ją czarnemi punktami na kartach nutowego papieru, lecz nikt jej nie słyszał, ani nie znał tytułu.

Tak było co noc.

Rankiem Andrzej przyrządzał sobie śniadanie, zasłaniał okna grubemi firankami i kładł się spać. Budził się dopiero popołudniu.

W kącie pokoju bezładnie rzucone leżały pieśni, sonaty, preludja i tanga. Rósł z nich stos coraz wyższy, gdyż każda niemal noc dorzucała kart kilka.

Bywały noce, w których jedna i ta sama melodja, pełna już i wydoskonalona, powtarzała się raz jeszcze i raz jeszcze. Jakby pragnęła, aby ktoś wreszcie ją usłyszał. Lecz był to tylko dowód, że autor na czas dłuższy zakochał się we własnej pieśni i czerpie z niej więcej radości, niż z wielu innych.

Odkąd Andrzej zamieszkał w małem miasteczku, przy bocznej, drzewami ocienionej uliczce, czuł się bardzo szczęśliwy. Opodal pędem aut i motorów szumiała szeroka, asfaltowa szosa. To też melodje nocą wywoływane do życia, nie budziły nikogo, zapadając w gęstwinę liści i gwar ulicy.

Trwało to już kilka miesięcy. Jakoś od wiosny. Sen Andrzeja był spokojny od świtu, aż do zmierzchu. Równie spokojne były noce, dzielone niezmiennie na dwie części.

Andrzej był szczęśliwy, szczęściem trochę dziwnem i mało znanem, które daje muzyka i sen. Był szczęśliwy przez wiosnę i całe, długie lato.

Lecz nagle, któregoś ranka, wydarzyło się coś, co muzykowi zmąciło sen i radość bytu. Bo oto, skoro tylko przymknął powieki i zaczął zasypiać, na ulicy, gdzieś całkiem blisko, tuż poza zasłoną liści, która sięgała okien jego pokoju, odezwało się granie... Bezduszne i nieudolne, piszczało jękliwym sopranem skrzypiec, pogwizdywało fletem, wykrzykiwało harmonją, pomrukiwało tajemniczym basem.

Muzyk, posłyszawszy tę okropność, gwałtownie usiadł na łóżku i długo nadsłuchiwał, nie wierząc własnym uszom. Bo mimo wszystko nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Była to jego własna, przed chwilą właśnie ukończona pieśń, nad którą pracował kilka ubiegłych nocy.

Andrzej był tak zdumiony, że jego zawsze zmrużone powieki wysoko odgięły się ku górze, odsłaniając oczy blade i bardzo okrągłe. Muzyk bezradnie patrzył w okno, czując w sercu jedno jedyne pragnienie, aby ta męka skończyła się jak najprędzej.

Lecz granie, choć fałszywe i co chwila utykające, niestrudzenie toczyło się dalej, aż do ostaniego taktu, do ostatniej nuty. A potem znów od początku.

Andrzej zasłonił uszy kurczowo zaciśniętemi pięściami, głowę wgniótł w poduszki i jęczał cicho.

A granie trwało... uparcie, aż do południa. Gdy wreszcie zapadła cisza muzyk zasnął z męki i utrudzenia. Lecz to był sen koszmarny i pełen widziadeł, w którym każda, najkrótsza nawet nuta, miast łagodnie zarysowanego owalu, ukazywała twarzyczkę maleńką, lecz wykrzywioną w grymas okropny, niedający się opisać, każdy zaś krzyżyk ostrym ciężarem wrzynał się w dźwigające go ramiona.

Nad wieczorem muzyk obudził się z głową ciężką od bólu i braku snu. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że autobus odchodzi za pół godziny. Więc ubrał się szybko i wyszedł.

W autobusie, rozmowna kupcowa, właścicielka sklepu korzennego, który zaopatrywał muzy w produkty, wdała się z Andrzejem w rozmowę, zaczynając od owego porannego grania i jego wykonawców.

— Wprawdzie ma pan konkurencję — powiedziała uprzejmie i trochę współczująco — lecz za to będzie nam teraz wesoło.

Andrzej w milczeniu patrzył przez okno.

— Wesoło i tak jakoś inaczej — ciągnęła kupcowa, patrząc w Andrzeja, tak, jakby był tęczą na suficie — przytem zniżyła głos do szeptu, wdzięcząc się sentymentalnie.

— Bo muzyka, proszę pana, to piękna rzecz. Tak samo potrzebna do życia, jak chleb i masło, które pan u mnie kupuje...

— Kto oni są? — zapytał muzyk krótko.

— Grywają w mieście, po ulicach, a wynajęli mieszkanie tutaj, naprzeciw pańskiego — w tym małym domku z czerwonym gankiem — wie pan... –

Andrzej kiwnął głową, że wie.

A potem przez całą nos niespokojnie wyczekiwał poranka.

Muzyka w lokalu, objęta programem, męczyła go więcej niż zwykle — kiedy zaś po północy powrócił do domu, poczuł, że nie ma tego cudownego nastroju do pracy, jaki nawiedzał go niemal co noc od kilku miesięcy.

Mimo wszystko pisał jednak piosenkę jakąś, którą odnalazł w sobie, zaledwie usiadł przy fortepianie. Łączył nuty i akordy, piosenka układała się łatwo i szybko. Lecz, muzyk nie był zadowolony. Wydała mu się banalna i mało skomplikowana.

Nad ranem, kiedy piosenka była już ukończona, Andrzej poczuł, że niepokój jego wzrasta. Pospiesznie wypił herbatę, zasunął firanki i ułożył się do snu.

Nieznani muzycy nie kazali na siebie zbyt długo czekać. Zaczęli dość poprawnie, dając tem najoczywistszy dowód, że przysłuchiwali się pilnie Andrzejowej kompozycji i nie stracili żadnej, wygranej przed chwilą nuty.

Muzyk słuchał i czuł się, jak dziecko, które w bezsilnej rozpaczy połyka łzy.

Grajkowie ćwiczyli niestrudzenie, muzyk słuchał i słuchał, do utraty tchu i przytomności. A od tego słuchania wzrastała w nim nienawiść ogromna do niewidzialnych wy-

Ciąg dalszy na str. 28-ej.

WENUS NA PLAŻY
JUDITH BARRET.

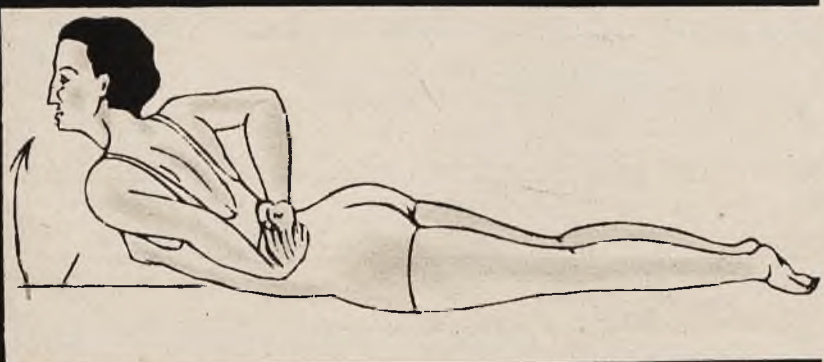


ĆWICZENIA MIĘŚNI NÓG, BRZUCHA I LĘDŹWI

10 MINUT GIMNASTYKI



Leżąc przodem, zginamy nogi do tyłu, chwytamy za kostki i wprawiamy tułów w ruch wahadłowy (ćwiczenie 5).



Ćwiczenie mięśni grzbietu. Leżąc na brzuchu z ramionami w bok, wznosimy powoli tułów i równocześnie przenosimy ręce na lędźwie (ćwiczenie 4).

Klękamy na jednej nodze, drugą wyciągamy w przód i skłaniamy tułów do przodu (ćwiczenie 6).



Mimo, że właściwie okres wakacyj letnich zbliża się ku końcowi, znaczna ilość pań, dotąd nie zdecydowała się wyjść na plażę, poddać się dobrotliwemu wpływowi promieni słońca i zaznać rozkoszy kąpieli w spienionych falach morskich, czy w innym wypadku rzecznych. Uciekają one wstydliwie w odludne okolice rzek i lasów, aby przypadkiem ktoś nie spojrzał krytycznem okiem na ich sylwetki, nie zawsze idealne.

Każda z przedstawicielek płci pięknej chciałaby mieć szczupłą, zgrabną figurę, umożliwiającą uprawianie sportów i odbywanie długich wycieczek, które zbliżają do piękna przyrody i pozwalają rozkoszować się świeżem, o żywicznym zapachu, powietrzem górskiem.

Największym wrogiem zgrabnej figury niewieściej jest nieprawidłowa przemiana materji, spowodowana zmniejszeniem spalania się tłuszczu w organiźmie, wskutek czego następuje odkładanie się tkanki tłuszczowej.

Szczególnie czułe na ten proces są mięśnie ud i brzucha. Otłuszczenie ich nie pozwala pani wyjść na plażę, gdzie każdy porównywać będzie jej sylwetkę z dobrze zbudowanemi postaciami innych pań.

Nigdy jednak nie jest zapóźno. Mamy przed sobą jeszcze wiele pięknych dni końca lata i znanej polskiej, skąpanej w promieniach słonecznych, jesieni. Można nadrobić utracony czas i zaznać w całej pełni rozkoszy plażowych po usunięciu, względnie zmniejszeniu defektów urody.

Doskonałym środkiem, zapobiegającym odkładaniu się tkanki tłuszczowej, są odpowiednio dobrane ćwiczenia gimnastyczne. Racjonalną gimnastykę powinny uprawiać wszystkie panie zarówno szczupłe celem zapobieżenia deformacji swej sylwetki, jak i otyłe. Te ostatnie przez ćwiczenia gimnastyczne pobudzają krew do szybszego krążenia. Powoduje to lepsze odżywianie tkanek, zwiększenie przemiany materji kosztem nagromadzonej tkanki tłuszczowej.

Po pewnym, stosunkowo nawet krótkim czasie, przeglądając się w lustrze, spostrzega pani ze zdumieniem nagłe wysmuklenie swej postaci i z radością idzie na plażę.

Podajemy kilka ćwiczeń, wpływających wydatnie na osiągnięcie estetycznej i szczupłej sylwetki.

Ćwiczenie I. Kładziemy się na wznak, ręce wyciągamy w bok i opieramy dłońmi o podłogę. Następnie na raz wznosimy lewą nogę do góry, na dwa zginamy wolno i przybliżamy do piersi, na trzy szybko prostujemy, na cztery opuszczamy nogę na podłogę. Podobnie ćwiczymy nogą prawą. Nie należy przy tem ćwiczeniu podnosić głowy, a stopa nogi wznoszonej jest wyciągnięta ku górze.

Ćwiczenie II. Z tej samej pozycji podnosimy obie nogi pod kątem 45°, odsuwamy jedną od drugiej i zataczamy obiema koła raz do środka, drugi raz od środka. Po kilku sekundach przerwy podnosimy obie nogi pod tym samym kątem i zataczamy jak największe koła, przyczem cały tułów pozostaje w spokoju. Nie wolno pod żadnym pozorem wstrzymywać oddechu.

Ćwiczenie III. Siadamy na podłodze z piersią wysuniętą do przodu. Na raz chwytamy rękoma za kostki i trzykrotnie przyciągamy tułów do nóg, starając się dotknąć głową kolan. Na dwa powracamy do pozycji wyjściowej.

Ćwiczenie IV. W pozycji leżącej na brzuchu z rękoma w bok opartemi o ziemię wznosimy powoli górną część ciała z wyprostowaną szyją i przyciągniętą brodą i zakładamy ręce na lędźwie. Na dwa opuszczamy. Nie należy wstrzymywać oddechu i odrywać nóg od podłogi.

Dokończenie na str. 28-ej.

Krawat

POWINIEN HARMONIZOWAĆ Z CAŁOŚCIĄ STROJU



Do ciemnego ubrania popołudniowego nadają się tylko krawaty o bardzo stonowanych barwach...

Można z czystem sumieniem powiedzieć, że mało jest mężczyzn, którzy by umieli znaleźć dla siebie właściwą drogę w labiryncie zaleceń dzisiejszej mody, tak szeroko dopuszczającej różne zestawienia kolorowe, szczególnie jeśli chodzi o stroje sportowe lub t. zw. kombinacje. Tu jednak naprawdę trudno ustalić jakieś niewzruszone prawidła. Każdy powinien się kierować swym gustem, a jeśli go nie posiada (kto jednak się do tego przyzna?) natenczas najlepiej niech zastosuje najdalej idącą ostrożność i powściągliwość. Niema bowiem nic gorszego od stroju pstrokatego, mieniącego się całą tęczą kolorów w najfantastyczniejsze zestawienia, przypominające raczej ubiór clowna, niż dress wykwintnego gentlemana. Mowa tu naturalnie nie o samej marynarce, lecz o całości stroju, a więc również o bieliźnie, bucikach, kapeluszu, no i, co może najważniejsze, o krawacie. Ten mały kawałek materjału, którego protoplastą była chustka zasłaniająca gardło przed zaziębieniem, sprawia nam zazwyczaj najwięcej kłopotu w wyborze odpowiedniego koloru i desenju — odpowiedniego, rzecz prosta, dla danego ubrania. Podane obok w tabelce zestawienia nie wyczerpują oczywiście wszystkich możliwości. Brakuje wśród nich kombinacji, w której występuje strój popołudniowy, zwany inaczej wizytowym. Uczyniliśmy to rozmyślnie, jako że ten rodzaj dressu posiada bardzo ograniczone możliwości w zestawieniu kolorów poszczególnych akcesorjów i że tu właśnie trzymanie się dawnych szablonów jest bardzo wskazane.

Brummell.

	UBRANIE	KOSZULA	● KRAWAT
1.	popielate	biała niebieska	● **granatowy** ● **weinrot**
2.	granatowe	łososiowa biała w paski	● **czarny z czerwon.** ● **koloru miedzi**
3.	brązowe	piaskowa biała w paski	● **szkocki w brązie** ● **zielony z czerw.**
4.	piaskowe	niebieska brązowa	● **popiel. z czarnym** ● **żółty**
5.	zielone	piaskowa biała w paski	● **ciemno-zielony** ● **brązowy**

	KAPELUSZ	CHUSTECZKA DO NOSA	POŃCZOCHY
1.	granatowy czarny	biała z niebieskim biała z czerwonym	niebieskie weinrot
2.	czarny melon	popielata z czerwonym biała z granatowym	czarne granatowe
3.	tabaczkowy zielony	beige z brązem rezeda z czerwonym	brązowe weinrot
4.	popielaty brązowy	niebieska żółta	piaskowe brązowe
5.	zielony brązowy	piaskowa z zielonym brązowa	zielone popielate



Każda pora dnia i roku wymaga zgoła odmiennych rodzajów krawatów...

Ciąg dalszy ze str. 24-ej.
konawców najlichszej z pośród wszystkich pieśni, którym dał życie.

Skończyło się przedziwne Andrzejowe szczęście, zrodzone ze snu i muzyki. Praca jego z każdym dniem stawała się coraz mniej warta.

Lecz grajkowie korzystali z niej skrzętnie. Była to przecież świetna okazja uczenia się najnowszych melodyj, które wędrowały później po ulicach miasta, bezimienne, nie nagrane na żadną płytę, nie zanotowane w muzycznej literaturze.

Grajkowie ćwiczyli więc każdego ranka kradzione, podsłuchane melodje, a szczęście Andrzeja marło z dnia na dzień.

— Trzeba się stąd wyprowadzić — zadecydował wreszcie. Lecz było mu żal zacisznego domku, szerokich okien i gęstych liści skupionych tuż obok. Dlatego zwlekał z wykonaniem decyzji.

Lecz bezsenne noce i poranki nużyły go coraz więcej. Głowę miał ciężką i myśli obolałe. Natchnienie jego więdło, codziennie zatruwane goryczą, jedynie muzyka, objęta programem wykonywana była wprawnie, solidnie, jak dawniej.

Tylko w przerwach, między jedną melodją a drugą, muzyk głęboko wsuwał się w krzesło, zamykał oczy i zapadał w zwyczajną, prawdziwą drzemkę.

Monotonja powiązanych słów, brzęków i stukotu stężała nad żółto nakrytemi stolikami kołysała go do snu, dając krótkotrwałe, lecz pełne uczucie błogości i spokoju.

Tutaj czuł się zupełnie bezpiecznym. Muzykalni wrogowie byli daleko.

Z biegiem dni muzyk przyzwyczaił się do tego, że odpoczynkiem był nie gwarny wielkomiejski lokal, a pracą i trudem zaciszny, w ogrodzie ukryty domek.

Lecz pewnego wieczoru, kiedy po przegraniu pierwszego numeru, postanowił drzemać, poczuł, że coś mu przeszkadza. To coś dominowało nad atmosferą lokalu, która, niby skondensowana masa, aż po dziś dzień nie ulegała w jego wrażeniach żadnej zmianie. To coś było osobliwe, dotąd nieznane.

Andrzej chwilę walczył z ogarniającą go sennością, usiłując odgadnąć przyczynę swego niepokoju. Poprawił się na krześle, prawą nogę przewiesił przez lewe kolano i rozwarł oczy, jak mógł najszerzej. Wtedy dopiero zobaczył, że były to także tylko oczy, lecz umieszczone tuż naprzeciw jego źrenic i nieruchomo w nie zapatrzone.

Oczy były piękne. Czarne, połyskujące, pod owalnemi, równo zarysowanemi brwiami.

Andrzej oprzytomniał natychmiast. Twarz jego ocknęła się z martwoty, przybrała wyraz inteligencji i skupienia.

Czarne oczy patrzyły.

Kiedy po skończonej przerwie muzyk ujął skrzypce i stanął wyprostowany obok pianina, przesunęły się po całej jego postaci, a potem znowu spoczęły na twarzy. Wtedy w mózgu Andrzeja począł się budzić niejasny niepokój, czy ocena wypadła korzystnie, czy nie odwrócą się za chwilę? — Nie odwróciły się. Patrzyły wytrwale i uparcie przez pełne dwie godziny. Koło dziesiątej właścicielka czarnych oczu wstała od stolika — raz jeszcze spojrzała, jakby z żalem — i wyszła.

Wtedy muzyk zrozumiał, że coś się stało. W senną, utrwaloną ponad stolikami monotonję, wdarł się nowy, nieznany ton. Był to czar spojrzenia, który naraz wypełnił wielką, cudzą salę. Rozjaśnił gorejące lampy, sprzęty przystroił w barwy, a obojętne twarze gości w miły przyjazny uśmiech.

Muzyk wrócił do domu rozmarzony.

Spojrzenie czarnych oczu wiodło go szerokim szlakiem asfaltowej szosy, poszło wraz z nim ku cichemu ustroniu, między szumiące liście.

A potem, gdy usiadł przy fortepianie, obudziło w nim natchnienie szczere i gorące, z którego wyrastać zaczęła pieśń.

Na blade policzki Andrzeja wypełzły cienie rumieńca. Zmrużone oczy połyskiwały zielono, a pieśń rozrastała się szybko. Tak szybko, że nie było czasu, by ją zanotować.

Muzyk grał, czując, że posiada w piersiach skarb ogromny, piękno najwyższe, jakiem jest miłość, zaklęta w tony melodji.

Gdy o świtaniu blade promienie jesiennego słońca srebrem zadrgały na liściach drzew, przytulonych do ścian domu, Andrzej zasypiał. Opodal szumiała asfaltowa szosa, drzewa w ogrodzie kołysały go do snu swą ciszą.

Andrzej, po raz pierwszy od czasu, gdy uliczni grajkowie rozpoczęli swe poranne ćwiczenia, zasnął mocno i zdrowo.

Nie słyszał więc wcale, jak męczyli się nad jego melodją, która była zbyt piękna i trudna zarazem, by ją mogli dostosować do swych talentów i do wymagań ulicznych słuchaczy. To też próba tego dnia trwała krótko. Po kilkunastu nieudałych taktach grajkowie zrezygnowali z dalszego ćwiczenia i wyruszyli ku miastu.

Muzyk zaś spał.

A skoro tylko nad wieczorem otworzył oczy; pomyślał o swojem wielkiem, nowoodkrytem szczęściu. O przedziwnem spojrzeniu, które, był pewny, znów dzisiaj czarować go miało przez kilka godzin.

Nie omylił się.

Właścicielka czarnych oczu siedziała przy tym samym stoliku, co ubiegłego wieczoru i patrzała. Była tajemnicza i bardzo piękna.

Tej nocy, gdy Andrzej po skończonej pracy znalazł się w domu, grał tę samą pieśń o miłości. Jej subtelnie cieniowane tony długo omdlewały z tęsknoty, wyszeptywały pieszczot tajemnicze zaklęcia.

Muzyk grał długo, aż do białego świtania, zakochany we własnej pieśni i w nieznanej czarnookiej dziewczynie. A szczęście jego było tak wielkie, że wcale nie widział jego kresu.

Dlatego stało się to nagle i całkiem niespodziewanie. Następnego wieczoru nieznajoma ukryła źrenice pod zasłoną ciemnych rzęs z pod których ukradkowo i z niepokojem spoglądała ku drzwiom. Andrzej odgadł, co to miało znaczyć i przygasł, czując, że stanie się coś złego.

Dok. na str. 31-ej.





BLUZKI NOSI SIĘ CAŁY DZIEŃ



Niedawne są jeszcze czasy, kiedy bluzka w tualecie kobiecej zajmowała ściśle określone i nad wyraz skromne miejsce. Nosiło się ją jako uzupełnienie kostjumu, najczęściej prostą i nieco męską w kroju, przeważnie białą lub w drobne paseczki, jak męskie koszule. Kolorowe, strojniejsze bluzki, to było mauvais genre — a wogóle nie uchodziło za dobry ton, nosić bluzkę do spódnicy bez żakietu — w którego rozchyleniu powinna się była ukazywać jaknajdyskretniej.

Od paru lat moda zaczęła systematycznie przywracać bluzce w jej tysiącznych odmianach dawne, honorowe miejsce. W tym roku bluzka doczekała się pełnej rehabilitacji i zajęła w tualecie eleganckiej pani najpoczcśniejsze miejsce.

Dziś nie wystarczy dwie czy trzy koszulkowe bluzeczki do kostjumu: wytworna pani posiada bluzek kilka jeśli nie kilkanaście, nosi zaś je w rozmaitych kombinacjach, dosłownie od rana do nocy.

Rano wkłada się bluzkę już do piżamowych spodni, do kostjumu zaś czy sportowego kompletu jest ona nieodzownym dodatkiem, któremu poświęca się wiele uwagi. — Z lnianego płótna, piki, surowego jedwabiu czy pięknego batystu robi się śliczne, wypracowane bluzeczki w typie „lingerie", zdobne w drobniutkie zakładeczki plisy, kontrafałdy, ażurowe mereżki, hafty itp. Zależnie od pory dnia i okoliczności, wybór bluzki decyduje o charakterze stroju: ten sam angielski kostjum z ciemnej wełny może być noszony rano ze sportową bluzką, podczas gdy bluzka z linon czy żorżety, strojnie wykończona, nada mu charakter zdecydowanie popołudniowy. Do kostjumów jedwabnych nosimy bluzeczki-poematy, istne cacka z tiulu, koronki, gazy lub haftowanego linon, drapowane, marszczone, drobno plisowane itd.

Podobnie na wieczór, taka strojna bluzka z długą taftową czy jedwabną spódnicą, tworzy elegancki i bardzo modny komplet obiadowy i służyć nam może również na wieczorny dancing czy bridge. Jest to moda nad wyraz praktyczna, możemy bowiem dzięki niej łatwo i niewielkim kosztem zestawić sobie parę takich popołudniowych i wieczorowych kompletów. Np. bluzeczka z drobniutko plisowanego cytrynowo-żółtego linon czy gazy może służyć nam zarówno do kloszowej popielatej spódniczki z angielskiej flaneli na popołudniu, jak i na wieczór, jeśli włożymy do niej długą i bardzo szeroką spódnicę z mieniącej się tafty w odcieniu „iris noir". Bluzka z czarnej koronki „chantilly" uzupełni równie elegancko czarny jedwabny kostjum popołudniowy, jak i długą spódnicę z małym trenem — na wieczorny obiad czy do teatru.

Nie zapominajmy też o roli, jaką odgrywa bluzka w garderobie plażowej, do długich flanelowych spodni, zarówno jak do płóciennych shortów, do spódniczkowych spodni, które nosimy na rower lub dalsze

Dokończenie na str. 31-ej

RYSUNKI: EWA LEO







PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

SAŁATKA JARZYNOWA JAKO PRZYSTAWKA. Mały seler i parę karotek ugotowane w rosole kraje się w cienkie plasterki, kwaśny ogórek i jabłko w drobną kostkę, skrajane zaprawia się następującym sosem: dwa twarde żółtka uciera się z łyżeczką musztardy, troszką soli i łyżeczką octu lub soku cytrynowego, poczem dodaje się pół szklanki kwaśnej śmietany lub dwie łyżki oliwy. Sos gładko utarty miesza się z przygotowanemi jarzynami. Białka jaj drobno zsiekane mogą być również dodane. Sałatkę ułożoną na salaterce posypuje się szczypiórkiem i zieloną pietruszką.

GRZYBKI NA MUSZELKACH LUB W BUDYNIU. 25 dkg. oczyszczonych drobno pokrajanych grzybków dusi się z troszką masła i małą pokrajaną cebulką dodaną na surowo. Grzybki należy dusić na małym ogniu w własnym soku bez dolewania wody. Osobno smaży się łyżkę masła z łyżką mąki. Lekko zrumienioną zasmażkę zalewa się zimnem mlekiem w takiej ilości, aby się utworzyła gęsta masa, z którą się miesza uduszone grzybki oraz trzy żółtka roztarte z troszką soli i 4-ma łyżkami kwaśnej śmietany. W końcu dodaje się pianę ubitą z pozostałych trzech białek i dosypuje 2—3 łyżek tartej bułki, aby masa nie była za wolna. Grzybkową masę nakłada się na natarte masłem muszelki i zapieka je przez kwadrans w piecyku, lub też piecze albo gotuje na parze, nałożoną do formy budyniowej. Do budyniu podać można osobno sos śmietanowy i świeże ziemniaczki jako jarskie danie do obiadu lub na kolację.

RULADA CIELĘCA Z KIEŁBASĄ. Kilogram mięsa cielęcego (najlepiej z łopatki wykrawuje się z kości i u bija lekko. Na środek mięsa stosownie rozciętego aby tworzyło równy prostokąt, kładzie się obciągniętą ze skórki kiełbasę sardelową grubszego kalibru, soli lekko, zawija i spina lub owiązuje nitką. Chcąc potrawę uczynić wydatniejszą, pokrywa się mięso przed położeniem na niem kiełbasy, jajecznicą z 3—4 jaj dość twardo usmażoną, nie jest to jednak konieczne. Zwinięte mięso należy sparzyć wrzącą wodą, obsuszyć ściereczką i osmażyć na maśle z wszystkich stron poczem wstawia się je do gorącego piecyka i piecze przy częstem polewaniu. Upieczoną ruladę przestudza się, pozbawia spinaczy wzgl. nitki, następnie kraje w plastry i podaje z duszoną kapustą. Bardzo smaczna jest ta rulada podana na zimno z sałatką majonezową lub sosem tatarskim.

PURÉE Z KALAFIORÓW. Nie nadające się do podania z masłem niepokaźne kalafiory przyrządzić można jako purée, które stanowić może dodatek do mięsa lub jarskie danie z kluseczkami albo ziemniaczkami. Sparzone następnie i ugotowane w słonej wodzie i osączone z niej kalafiory, przeciera się przez sito, wkłada do ryneczki na łyżkę masła, dodaje szczyptę soli i cukru, poprusza łyżeczką mąki i dolewa parę łyżek słodkiej śmietanki. Zasmażoną na ogniu masę, która powinna być dość gęsta, wykłada się łyżką umaczaną w maśle na półmisek i polewa rumianem masłem z bułeczką.

BAKŁARZANY SMAŻONE W CIEŚCIE. Opieczone i obciągnięte z łupki bakłarzany kraje się w płatki grubości grzbietu noża, parzy je wrzącą osoloną wodą, następnie wykłada na serwetę aby obeschły. Z 1 jajka, łyżki octu lub wina, łyżki oliwy, troszki soli i odpowiedniej ilości mąki ubija się t. zw. lane ciasto. Osuszone płatki bakłarzanów macza się w cieście i osmaża na oliwie lub maśle na rumiano i podaje szybko, gdyż przez przydługie stanie po usmażeniu, tracą na smaku i wyglądzie.

JABŁKA PANIEROWANE. Duże kruche jabłka obłupane kraje się w grubsze krążki i oczyszcza środki z pestek i łusek. Krążki te osypuje się mąką, macza następnie w rozkłóconem jajku, powtórnie w mące, potem znów w jajku, wkońcu w tartej bułeczce tak, aby się utworzyła dość gruba powłoka. Krążki jabłek rzuca się na rozpalone masło, osmaża na rumiano, osypuje suto cukrem pudrem z wanilją lub cynamonem i podaje szybko aby nie zwilgotniały lecz pozostały kruche.

SZYBKA LEGOMINA Z BISZKOPTÓW. 4 żółtka, łyżeczkę mąki, 2 łyżki cukru i łyżkę mleka, uciera się starannie. Pół litra mleka zagotowuje się z kawałkiem wanilji, miesza z utartemi żółtkami i ubija następnie na ogniu na gęsty krem, który się przestudza i miesza do niego pianę ubitą z dwóch białek. Biszkopty smaruje się galaretką porzeczkową, przełamuje przez pół i zlepia razem, następnie układa na szklanej misce. (Przełamane łatwiej się układają). Krem zupełnie wystudzony wylewa się na biszkopty, które należy poprzednio skropić likierem waniljowym lub maraskino. Wierzch pokrywa się bitą śmietaną.

MELON CUKROWY (BIAŁY) A L'IMPERIALE. Mały dojrzały melon cukrowy olupany przekrawuje się na dwie połowy, wyskrobuje pestki i włókna i kropi likierem waniljowym lub rumem. 4 żółtka uciera się z 12 dkg cukru, a dolawszy pół szklanki wina, ubija się na parze gęsty szodon. Ostudzony krem miesza się z szklanką bitej śmietany — dodaje kilka obłupanych i drobno pokrajanych brzoskwiń napełnia tą masą melony i stawia je aż do użycia na lodzie. Doskonałe deserowe danie, można u skromnić przez zamianę brzoskwiń na suche konfitury i nie dodawanie bitej kremówki.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Zielona fasolkę obieramy z włókien, ewentualnie krajemy na mniejsze cząstki i gotujemy kilka minut w czystej wodzie. Następnie obsusza się ją na sicie i napełnia słoiki, posypując solą, pieprzem, siekaną pietruszką, oraz pokruszonymi listkami bobkowymi, w ilości zależnej od upodobania. Osobno zagotowuje się ocet i po wystudzeniu zalewa nim przygotowane słoiki. Po kilku dniach zlewa się ocet, zagotowuje, potem wystudza i zalewa fasolkę powtórnie. Teraz dopiero zawiązuje się słoiki i przechowuje na zimowy użytek.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Święta rzym.-kat.	Tydzień 34 — **Sierpień** — Dni 31
Niedziela **20** Stefana kr.	Przystawka z sałatki jarzynowej w miejsce zupy. Budyn grzybowy z sosem śmietanowym. Perliczka z kompotem. Melon "a l'imperiale". Kolacja: Rulada cielęca.
Poniedziałek **21** Joanny, Franc.	Chłodnik owocowy z grzankami. Purée z kalafiorow z ziemniaczkami. Befsztyk w garniturze z jarzyn. Jabłka panierowane. Kolacja: Omlety z grzybkami.
Wtorek **22** Tymoteusza	Rosół /mrożony/ z groszkiem ptysiowym. Faszerowane pomidory z ryżem. Kura z rosołu w sosie beszamelowym. Kompot mieszany. Kolacja: Hachée z mięsa rosołowego z jajem sadzonem.
Środa **23** Filipa Joach.	Zimny barszcz czysty z botwinką. Zielona papryka w sosie pomidorowym. Pieczeń z polędwicy szpikowanej z buraczkami. Sałatka z surowych owoców. Kolacja: Bakłarzany w cieście smażone.
Czwartek **24** Bartłomieja ap.	Zupa z pomidorów na rosole z kluseczkami. Sztuka mięsa z zimnym sosem musztardowym. Kaczka pieczona z jabłkami. Kisiel malinowy z śmietanką. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym.
Piątek **25** Ludwika kr.	Zupa rakowa z ryżem. Ziemniaczki faszerowane grzybkami. Karasie smażone w cieście z sałatą. Placek drożdżowy z owocami. Kolacja: Raki lub ryby bałtyckie wędzone.
Sobota **26** MB. Częstoch.	Zupa z świeżych grzybów. Kotlety jarzynowe z sosem śmietanowym. Wątróbka po wiedeńsku. Ryż z śmietaną. Kolacja: Jaja w szklance.



HOCKI-KLOCKI

DOBRA PRZYJACIÓŁKA.



— Moja droga, tylko nie kłopocz się o Toma. Ja już się nim w zupełności zaopiekowałam... „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 33-go.

ROZGRYWKI TENISOWE.

Panowie rozegrają sześć partyj.

POWRÓT DO DOMU.

P. Wróbel szedł 55 minut. Szofer przybył z p. Wróblem do domu o 5.50, a więc zaoszczędził na całej drodze tylko 10 minut, czyli po 5 minut w każdą stronę. Z tego wynika, że spotkał p. Wróbla o 4.55, więc p. Wróbel szedł pieszo 55 minut.

DUKATY HISZPAŃSKIE.

W skrzyni było 15,621 dukatów. Zadanie to można rozwiązać algebraicznie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

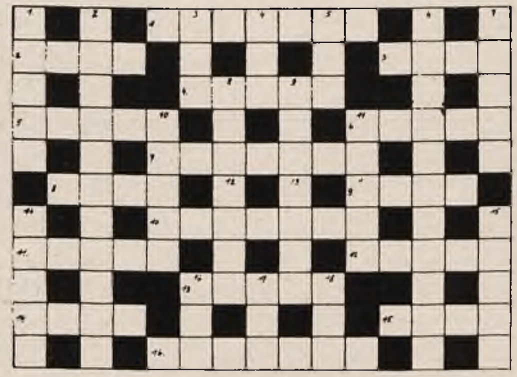
SUMA CYFR.

Suma cyfr niektórych lat dwudziestego wieku wynosi 13. Proponujemy Czytelnikom zgadnąć, które to są lata.

KRZYŻYKÓWKA.

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) Mistrz świata w szachach, 2) najdrobniejsza cząstka, 3) świeci, pali się, 4) potwierdzenia, 5) służy do czyszczenia, 6) mała rurka, 7) służy do łączenia, 8) ssak



szkodnik, 9) okrągłe i puste w środku, 10) dodatnia forma charakteru, 11) jeździ konno (bez pierwszej litery), 12) konieczne są do wyrobu mąki, 13) drzewo, 14) posiadają, 15) rzeka w Azji, 16) bóstwo słowiańskie.

Pionowo: 1) ssak, 2) budowa, 3) obawa, 4) nazwa dziennika (wspak), 5) piaski, 6) uczelnia, 7) straż (wspak, 8) zapach, 9) rosa w obcym języku, 10) góry w Azji, 11) nazwa świątyni słowiańskiej 12) rzeka w Hiszpanji, 13) stara forma słowa „pan" 14) straszna choroba, 15) władca, 16) liczebnik (II-gi przyp.), 17) skrót handlowy, 18) pływa czasem po wodzie (wspak).

WZBURZONE MORZE.



— Uspokoi się, czy się nie uspokoi! Ja przecież muszę być w domu zanim mąż mój tam wróci... „Esquire".

Dokończenie ze str. 26-ej.

Ćwiczenie V. Bardzo korzystne dla pań, mających dużo tłuszczu na brzuchu, jako masaż przedniej połowy ciała. Kładziemy się na podłodze na brzuchu, następnie zginamy nogi w kolanach, starając się piętami dotknąć pleców, chwytamy rękoma za kostki i wprowadzamy cały tułów w ruch wahadłowy.

Ćwiczenie VI. Klękamy na jednej nodze, drugą wyprostowaną wysuwamy do przodu, następnie skłaniamy się do przodu, starając się dotknąć stopy rękoma, a głową kolana. W ten sposób ćwiczymy, klęcząc raz na lewej raz na prawej nodze.

Do wszystkich ćwiczeń leżących należy używać osobnej maty, przeznaczonej wyłącznie do gimnastyki rannej, a to celem zapobieżenia gromadzeniu się kurzu i pyłu, szkodliwego dla płuc w czasie gimnastyki. Między poszczególnemi ćwiczeniami należy robić przerwy do jednej minuty, celem odpoczynku. Ważne to jest dla osób, posiadających zbyt dużo tkanki tłuszczowej.

St. St.

Dokończenie ze str. 28-ej.

Czekała na kogoś, kto miał nadejść za chwilę. Kto to będzie? Zapewne...

Już nie trzeba się domyślać. Przyszedł. Ma jasne bujne włosy, które opadły mu na czoło, gdy się pochylił nad stolikiem. Uśmiecha się. Andrzej nigdy nie widział tak pięknego uśmiechu. Czarnooka dziewczyna patrzy na niego z zachwytem. Mówi coś, miękko poruszając ustami.

Andrzej gra wprawnie, z uwagą lecz widzi wszystko bardzo dokładnie. Serce bije mu mocno, nierównomiernie, a w myślach coraz wyraźniej zarysowuje się pusta, ciemna plama.

Pozornie jest taki sam, jak każdego wieczoru. W przerwach między jedną melodją a drugą zasuwa się w krzesło, przymyka oczy i drzemie.

Gdy gra, nie patrzy w tamtą stronę. Oczyma sięga gdzieś wysoko ponad głowy ludzkie, aby nic nie widzieć. Chciałby nareszcie być w domu i schować swój ból w ciszę liści, zakrzepłych w czerni nocy. — To mnie uspokoi — myśli Andrzej. — Tam będzie lepiej. Trzeba tylko wytrwać do północy. Koniecznie.

Kiedy muzyk powrócił wreszcie do domu i zapaliwszy wysoką lampę, usiadł przy fortepianie, wtedy zrozumiał dopiero, jak kruche i zwiewne były podstawy nowego szczęścia. Zrozumiał, że dlatego nie mogło trwać dłużej. Nazwał je trzeźwo fantazją chwili, lecz nie mógł się pozbyć dotkliwego bólu, który ugniatał serce i smutnie skupione myśli.

Andrzej położył na klawiszach fortepianu szeroko rozpostarte palce i czekał. Powieki zacisnął, aż do bólu, na czole jego wyżłobiły się dwie podłużne bruzdy. Szukał melodji, która nagle zginęła. Szukał Pieśni Miłości.

Nie było jej. Sztywne karty nutowego papieru bieliły się czyste, nietknięte.

W bezszumnej pustce jesiennej nocy skargą rozmadlała się cisza. Pieśń Miłości umarła w sercu i w pamięci muzyka.

Siedząc przy fortepianie cierpliwie oczekiwał poranka. Przyświecała mu nadzieja, pewność niemal, że grajkowie, jak codzień, za oknami pieśń tę zagrają i przypomną. Wtedy się uspokoi. Napewno się uspokoi. Trzeba tylko doczekać poranka.

Blade słońce powoli wysrebrzało wilgocią rosy połyskujące liście. Noc ustępowała.

Muzyk patrzył w okno i czekał.

Pogwar daleki biegł od strony asfaltowej szosy. W ogrodzie cicho płaczliwie poćwierkiwać zaczęły ptaki.

Muzyk oparł głowę na zimnych klawiszach i zasnął smutny. Znużył go ból i trud oczekiwania.

Grajkowie milczeli tego ranka

Dokończenie ze str. 29-ej.

spacery, zarówno jak do fałdowanej lub silnie kloszowej spódnicy, z którą może tworzyć ładny komplet, w którym możemy zasiąść tak do lunchu jak i popołudniowej herbatki.

Bardzo ładną całość tworzy bluzka z czarnego jedwabiu jersey'u, zupełnie prosta i obcisła z szeroką, marszczoną spódniczką z barwnego deseniowego jedwabiu w duże kwiaty na czarnem tle. Tę samą bluzkę nosić będziemy wieczorem z długą, stylową spódnicą taftową w szeroką, czarno-białą kratę.

W podróż, do modnego uzdrowiska czy nad morze, zaopatrzyć się trzeba w parę bluzek tiulowych i gazowych. Nie zabierają one wiele miejsca w kuferku, a mają tę zasadniczą w podróży zaletę, że się nie mną i nie potrzebują ciągłego odświeżania. Wystarczy mieć do nich jeden kostjum i dwie lub trzy spódnice krótkie i długie, aby móc sobie każdej chwili zestawić ładny i modny komplet na popołudnie czy na wieczór.

Lady Like.

O tak! – to warto...



...usłyszeć

Program radjowy:

Niedziela, 20 sierpnia.

9.00 Nabożeństwo.
12.03 Poranek muzyczny.
13.15 Muzyka obiadowa.
16.30 Ludwik van Beethoven: Trio smyczkowe Es-Dur — koncert.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie — transm. z Bagateli.
21.15 „Na Łyczakowie“ — wodewil w 3-ch aktach.

Poniedziałek, 21 sierpnia.

8.15 „Kupiec i handel morski“ — pogadanka dla kupców.
14.45 „Przygody dwuch chłopców z Zaolzia“ — słuchowisko.
16.20 Recital śpiewaczy Sergjusza Benoni'ego.
17.00 Muzyka taneczna.
18.00 „Sławne koncerty: Triumfy artystyczne Paderewskiego“, audycja muzyczna.
21.00 Koncert w wyk. Orkiestry Smyczkowej Zw. Muzyków Chrz.

Wtorek, 22 sierpnia.

14.45 „Bohaterowie przestworzy“ — „Zwycięzcy Challenge'u“.
16.20 Polskie utwory fortepianowe w wyk. Stanisława Chojeckiego (z Torunia).
18.00 Roman Palester: „Od Karpat do Bałtyku“ — suita.
21.00 Giacomo Puccini: „Tosca“.

Środa, 23 sierpnia.

16.20 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej.
16.50 C. O. P. przed 4.000 lat — pogadanka.
17.00 Muzyka do tańca — transm. z cafe „Paradis“.
19.00 „Upał“ — wieczór fraszek w opr. St. Wasylewskiego.
21.00 Koncert chopinowski w wk. St. Szpinalskiego.

Czwartek, 24 sierpnia.

18.25 Polska muzyka fortepianowa w wyk. Władysławy Markiewiczówny.
19.00 „Wyspa rozpaczy“ — fragment z pism Daniela Defoe.
21.00 Recital skrzypcowy St. Mikuszewskiego.
21.30 „Niezwykły żywot redaktora O'Briena“ — słuchowisko.
22.05 Francuska muzyka nowoczesna.

Piątek, 25 sierpnia.

16.20 Muzyka na dwa fortepiany.
18.00 „Melodje słonecznej Hellady“ — aud. muzyczna.
19.00 „Legenda o Merkurym Smoleńskim“ w opr. J. Iwaszkiewicza.
21.00 Ilustracje muzyczne do utworów scenicznych.
22.35 Jan Brahms: Sonata na klarnet i fortepian op. 120.

Sobota, 26 sierpnia.

16.20 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana.
17.00 Muzyka do tańca — transm. z Cafe-Clubu.
18.10 Koncert rozrywkowy ze Lwowa.
21.02 Recital śpiewaczy Beniamino Gigli — transmisja ze Szwajcarji.
23.20 Muzyka taneczna z cafe „Paradis“.

...zobaczyć

Teatry:

WARSZAWA: „PANNA WODNA“ Teatr 8'15. Duże zainteresowanie wśród teatralnej publiczności warszawskiej wywołała pierwsza polska operetka morska wystawiona przez Teatr 8'15. Decydującą rolę w walorach dobrej operetki odgrywa zawsze muzyka. Żywotność operetki zależy od pomysłów melodycznych, świeżości inwencji i doskonałości faktury muzycznej. Nie wszystkie z tych zalet ma ostatnia operetka młodego kompozytora p. Jerzego Ławiny Świętochowskiego, z libretem J. Krzewińskiego i K. Bendy napisanym według utworu literackiego Jim Pokera. Dzięki umiejętnej inscenizacji reżysera Witolda Zdzitowieckiego grana jest z dużą werwą i posiada wiele dodatnich stron w postaci kilku udanych piosenek i tańców, zwłaszcza foxtrota z pierwszego aktu i marszowej piosenki marynarza. Widok marynarzy polskich na scenie i poruszenie tematów aktualnych powodują dużą reakcję na widowni. Szczególnie dobre kreacje stworzyły Ola Obarska i Mary Gabrieli. Sekundowały im: powabna Hawajka Bianka Dodo i Ama Wołkońska, a z panów niezrównany Faliszewski, K. Lasocki, T. Zakrzewski, S. Winczewski i popularny Igo Sym.

BYDGOSZCZ: „POWRÓT MAMY“ Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej. „Powrót Mamy“ jest pierwszą tego rodzaju sztuką w twórczości świetnej i subtelnej poetki, jaką jest Marja Jasnorzewska-Pawlikowska. Mimo sezonu ogórkowego i wielkich upałów, sztukę sprawnie wyreżyserowaną przez p. Szafrańskiego grano z dużym temperamentem, podając dowcip smacznie i lekko. P. Krzywicka znosiła z umiarem i ujmującą dystynkcją wybryki miłosne swego męża, a p. Okońska wczuła się doskonale w rolę córki o bardzo nowoczesnych poglądach. Dostroili się do nich pozostali członkowie obsady: pp. Szafrański, Malatyński, a p. Jacewicz dowiódł swych uzdolnień charakterystycznych.

WARSZAWA: „KTO — KOGO“ Teatr „Tip-Top“. W sobotę dnia 12 bm. otwiera swoje podwoje w dawnym lokalu „Teatru Buffo“ przy ul. Mokotowskiej 73 nowy teatr stolicy „Tip-Top“. Z okazji otwarcia wystawiona zostanie aktualna satyra polityczna „Kto — Kogo“, oczekiwana z dużem zainteresowaniem przez publiczność warszawską. Wystąpią w niej ulubieńcy stolicy: Hanka Ordonówna, chór Dana, Eugenjusz Bodo, radca Stroné, Marja Chmurkowska i Feliks Parnel na czele swego baletu.

St. St.

...przeczytać

Nowe książki:

Autentyzm... bardzo sympatyczna nazwa, która nikogo nie oburza, ale też i nie entuzjazmuje, jak to bywa z różnemi innemi „izmami“. Oraz jeszcze jedno nieporozumienie. Nie chcę tu bynajmniej urazić twórcy autentyzmu, Stanisława Czernika, dobrego poety i zasłużonego wydawcy i redaktora „Okolicy poetów“, która znowu od pewnego czasu zamilkła — ale muszę — raz jeszcze — zaznaczyć, że do dziś dnia nie rozumiem, co to jest i co to ma być autentyzm, widzę bowiem w grupie poetów, posługujących się tą wizytówką, najrozmaitszych twórców, których bardzo łatwo można wliczyć we wszystkie inne istniejące w Polsce „izmy“.

Ale mniejsza z tem. Kiepskiemu poecie nie pomoże żadna grupa, żadna nazwa, żadna kapliczka. Dobremu zaś nie zaszkodzi. Dlatego też poczciwy autentyzm nie zaszkodzi także jednemu z swych najwaleczniejszych przedstawicieli, jednemu z najzapalczywszych swych heroldów, krakowskiemu młodemu poecie J. B. Ożogowi.

Ożóg wydał ostatnio pod firmą „Okolicy poetów“ nowy zbiór wierszy pod tyt. „Ogier i makolągwa“. Dużo dobrych, dużo bardzo dobrych wierszy. Ciekawe w ujęciu, interesujące w formie, pełne ciepłego uczucia wiersze Ożoga nie są zbyt łatwe, ale nie operując łamigłówkami poetyckiemi dają w nowoczesnych ujęciach to przedewszystkiem, co jest — jak było i będzie — warunkiem dobrego wiersza: uczucie.

Jest to liryka w najczystszem tego słowa znaczeniu, liryka czuła i silna, liryka polska i wiejska, której nic nie szkodzi opatrzenie marką autentyzmu, mającego już w swem założeniu coś suchego i surowego. Przeciwnie bowiem, wiersze Ożoga są giętkie i ciepłe.

To dobry, ciekawy zbiór poetycki, znaczący wyraźną drogę rozwoju w twórczości młodego poety krakowskiego. **W. Z.**

Nakładem Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego ukazał się I. tom cennej monografji prof. Adolfa Chybińskiego o Mieczysławie Karłowiczu, obejmujący lata dzieciństwa i młodości wielkiego kompozytora. Część pierwsza kończy się na wyjeździe Karłowicza z Berlina po studjach u prof. Urbana. Dokładne omówienie monografji pozostawiamy do jednego z najbliższych numerów naszego tygodnika. **L.**

AS
Nr. 34

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa“ nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codz.“, Kraków, ulica Wielopole 1, pod zarządem dyr. Fr. Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.